

Dwa sny: szemranie – trzech umarłych (1876)

Utwór, którego akcja rozgrywa się w styczniu 1876 roku, przedstawia jeden z najbardziej sugestywnych „snów” Don Bosco, ulubione narzędzie, którym turyński święty wstrząsał i prowadził młodzież Oratorium. Wizja otwiera się na bezkresną równinę, na której wre praca siewców: ziarno, symbol Słowa Bożego, wykiełkuje tylko wtedy, gdy będzie chronione. Ale żarłoczne kury rzucają się na ziarno, a podczas gdy chłopci śpiewają wersety ewangeliczne, klerycy odpowiedzialni za ochronę milczą lub są rozproszeni, pozwalając, aby wszystko przepadło. Scena, ożywiona dowcipnymi dialogami i cytatami biblijnymi, staje się przypowieścią o szemraniu, które gasi owoc głoszenia, i przestrogą przed aktywną czujnością. W tonach jednocześnie ojcowskich i surowych, Don Bosco przekształca element fantastyczny w przejmującą lekcję moralną.

W drugiej połowie stycznia Ksiądz Bosko miał sen, z którego zwierzył się niektórym ze swoich. Wówczas ks. Barberis poprosił, ażeby go opowiedział publicznie, gdyż sny podobne bardzo interesowały młodzież przynosiły jej wielką korzyść duchowną i przywiązywały do Oratorium. To prawda – odrzekł na to Ksiądz Bosko; sny te robią dużo dobrego i są chciwie słuchane. Jeśli szkodzą komuś, to tylko moim płucom, które potrzebowałbym mieć żelazne. Rzec można, iż w Oratorium nie ma ani jednego, który przy tych opowiadaniach nie czułby się wstrząśnięty do głębi. Wszak dotyczą one wszystkich i każdy pragnie wiedzieć, w jakim go stanie widziałem, co ma robić, co oznacza to i owo: i tak nie dają mi spokoju za dnia i w nocy. Jeżeli zaś chcę zachęcić do spowiedzi generalnej, to wystarczy, abym opowiedział jakiś sen... słuchaj... – zrobmy tak: w niedzielę ja przyjdę powiedzieć słówko do chłopców, a ty publicznie zapytasz mnie o sen, a wtedy ja go opowiem. I

rzeczywiście dnia 25 stycznia, wieczorem, zjawił się Ksiądz Bosko wśród swych ukochanych chłopców z właściwym mu uśmiechem, wyrażającym całą Jego radość, jakiej doznawał, znajdując się pomiędzy nimi. Gdy się uspokoiło ks. Barberis odezwał się: Przepraszam Księdza Bosko, ale chciałem spytać o jedną rzecz.

– No powiedz bez obawy.

– Słyszałem, że Ksiądz Bosko miał sen o kurach, ziarnie i rolnikach, który opowiedział klerykowi Calvi. Czyżby nie był łaskawy opowiedzieć go i nam wszystkim? Bardzo byśmy się cieszyli.

– O, jaki ciekawski... – odezwał się Ksiądz Bosko.

– Niech ja już będę ciekawski, byle nam Ksiądz sen opowiedział. Jestem pewien, że moja prośba jest wyrazem życzenia wszystkich i wszyscy bardzo chętnie posłuchają.

– Jak tak, no to opowiem. Miałem zamiar nic nie mówić o tym, gdyż są w nim rzeczy, które odnoszą się w szczególniejszy sposób do niektórych, no i do ciebie, że będziesz musiał zarumienić się po uszy, lecz skoro już tak chcecie, to opowiem.

– No tak, Księżo Bosko, ale jeżeli miałbym za dużo oberwać, to proszę mi tego zaoszczędzić publicznie.

– Opowiem rzecz tak, jak ją śniłem: każdy niech weźmie, co dla niego. Ale przede wszystkim trzeba pamiętać, że człowiek śni śpiąc i wtedy nie rozumuje: jeśli więc w tym będzie co odpowiedniego dla kogoś, względnie jakie upomnienie, to niech każdy skorzysta, ale bez zbytniego przejmowania się. Powiedziałem, iż mi się śniło, gdy spałem w nocy, bo są i tacy, co śpią za dnia i to z otwartymi oczyma, ku utrapieniu nauczycieli, dla których stają się nieznosni... I tak ciągnął dalej:

Zdawało mi się, że jestem stąd daleko, w Castelnuovo d'Asti, wśród obszernej, pięknej równiny, na uprawnym polu. Do kogo należało, nie wiem. W każdym razie nie było ono nasze. Pracowało tam mnóstwo ludzi. Jedni równali ziemię, inni orali, jeszcze inni siali... Motyki, łopaty, grabie były w ruchu. Pracami kierowali wyznaczeni ku temu przodownicy i zdawało mi

się, jakbym i ja również należał do tej grupy. Z przeciwka stały rozśpiewane tłumy wieśniacze. Słuchałem ich, a nie mogąc nic z tego zrozumieć, pytałem sam siebie: Po co tyle tej pracy? I myślałem, że to chyba wszystko potrzebne, by moi chłopcy mieli chleba pod dostatkiem.

Podziwiać trzeba było owych pocziwych wieśniaków, gdyż ani na chwilę w pracy nie ustawali. Zaledwie paru stało tylko śmiejąc się i żartując. Rozglądając się wokoło, ujrzałem przy sobie kilku księży i swoich kleryków. Chyba śnię... – pomyślałem. Wszak moi klerycy są w Turynie, tymczasem to jest Castelnuovo. Zresztą jak to możliwe? Cały jestem okutany ciepło, wczoraj dopiero była zima, a tu zboże sieją? Chwytam się więc za rękę, chodzę tam i z powrotem, zaiste nie śnię... toż to prawdziwe pole. Kleryk, który tu stoi to kleryk A; tamten kleryk B. Zresztą niepodobieństwem jest widzieć naraz tyle rzeczy...

Gdy tak się głowiłem, zauważyłem w pobliżu starca, o miłej powierzchowności, który obserwował mnie i innych. Przystąpiłem wtedy do niego i spytałem:

– Powiedz mi, zacny staruszk, co to wszystko znaczy? Nic z tego nie pojmuję... gdzie jesteśmy? co to za pracownicy? co to za pole?...

– Och, ładne pytanie ... Ksiądz, jako kapłan tego nie wie..?

– Ależ proszę mi powiedzieć: sen to, czy jawa? Wszystko, co widzę wydaje mi się niemożliwe.

– Właśnie, że to najmożliwsze w świecie... owszem, to rzeczywistość. Czy sam się o tym nie spostrzegasz? Przecież doprawdy rozmawiasz, przysłuchujesz się, uśmiechasz, żartujesz ...

– No, a jednak – zauważyłem – trafiają się tacy, którym we śnie się zdaje, że rozmawiają, pracują...

– Tym się nie ma co przejmować... ty rzeczywiście jesteś tutaj ciałem i duszą obecny.

– Niechże już i tak będzie. Proszę mi zatem powiedzieć, do kogo to pole należy?

– Wszak uczyłeś się łaciny. Przypomnij sobie wtedy pierwszy rzeczownik drugiej deklinacji według w gramatyki Donata. Musisz ją chyba znać?...

- Oczywiście.. lecz cóż to ma wspólnego z moim pytaniem?
- Owszem, wiele. Bo niech no sobie Ksiądz przypomni, jaki jest pierwszy wzór na drugą deklinację.
- Dominus..
- A w drugim przypadku?
- Domini.
- Bardzo dobrze: Domini. Pole to jest Domini – Pana.
- Aha, zaczynam pojmować...

Zastanowił mnie trochę sposób rozumowania zacnego staruszka. Tymczasem przede mną przesuwali się ludzie, dźwigający wory z ziarnem do siewu, a grupa śpiewacza śpiewała: Exiit, qui seminat, seminam semen suum... Ziarno, które nieśli było tak śliczne, że mi się grzechem wydawało, iż zostanie rzucone w ziemię i zbutwieje...

Nie byłoby lepiej – myślałem sobie – zemleć je i upiec chleba czy ciastek? Lecz wnet przypomniałem sobie, że jeżeli kto nie zasieje ten nie będzie zbierał. Jeśli ziarno nie zostanie wrzucone w ziemię, to nie zakiełkuje, to nie będzie żniwa... Wtem z różnych stron nadleciała cała chmara kur, które zaczęły wydziobywać ziarno zasiane... Chór za śpiewał dalej: Venerunt aves coeli, sustulerunt frumentum et reliquerunt zizanium.

Rzuciłem okiem wkoło: uderzało mnie zachowanie się kleryków. Ten z rękoma założonymi patrzył obojętnie przed siebie, tamten gawędził z kolegami, inni baraszkowali między sobą lub załatwiali jakieś osobiste interesy, ale żaden z nich nie ruszył się nawet, żeby odpędzać ptactwo. Oburzony zwracam się do nich i wołam:

- Od czego tu jesteście? Czy nie widzicie, jak kury wyłuskują ziarno?
 - Nie rozumiecie, że zniszczą cały zasiew, jedyną nadzieję poczciwych tych wieśniaków? Cóż potem będzie się zbierać? No, no, cóż tak stoicie milcząc? Czemu nie płoszyć szkodników?
- Klerycy wzruszali tylko ramionami i spoglądali na mnie tępymi oczami. Niektórzy nawet nie raczyli obrócić się ku mnie i zgoła nie interesowali się polem, ani moim upomnieniem. Doprawdy jesteście bezmyślni – karciłem dalej. Kury już wole mają pełne, a wy nie możecie ich spłoszyć, choćby samym

kłaśnięciem w dłonie, ot tak... To mówiąc, zacząłem sam klaskać w ręce... Nareszcie kilku ruszyło się i odpędzili ptactwo. A wtedy pomyślałem: No tak, ale teraz, to już za późno, skoro ziarno zostało wydziobane...

A do moich uszu doleciał śpiew wieśniaków: Canes muti nescentes latrare – psy nieme, co nie umieją szczekać... Zwróciłem się do starca trochę zdumiony i równocześnie oburzony:

– Dalejże, staruszkule, wyjaśnij mi, to, co tu widzę, gdyż nic z tego nie pojmuję. Co oznacza ziarno?

– Bardzo to proste: Semen est verbum Dei.

– No, ale co to miało znaczyć, że je kury wydziobały?

Starzec, zmieniając ton głosu ciągnął dalej:

– Och, jeżeli koniecznie chcesz dokładniejszego wytłumaczenia, to zaraz wyjaśnię wszystko.

Pole – to Winnica Pańska, o której wspomina Ewangelia, może również oznaczać serce ludzkie. Robotnikami są pracownicy ewangeliczni siejący słowo Boże, które przyniosłoby obfity owoc w duszach, gdyż gleba ta jest podatna. Lecz cóż się dzieje? Przylatują ptaki niebieskie i wydziobują je.

– Co oznaczają ptaki?

– Chcesz wiedzieć, co oznaczają ptaki? Zaraz ci powiem. Ptaki, to symbole szemrania i wygadywania. Po wysłuchaniu kazania, które wielki mogłoby przynieść owoc w duszy, idzie się z kolegami; z tych jeden krytykuje gesty, czy głos kaznodziei, inny jakąś jego ułomność fizyczną, czy cechy charakteru; jeszcze inny drwi sobie ze stylu... i tak cały owoc kazania przepada. To samo należy powiedzieć o czytaniu dobrych książek. Wszelki skutek dobrej lektury zostaje zniweczony przez jakieś ujemne uwagi na jej temat. Takie wygadywanie tym jest niebezpieczniejsze, że przeważnie odbywa się w skrytości i szerzy się tam, gdzie się najmniej go spodziewamy. Ziarno, chociażby padło na glebę mniej urodzajną, zakiełkuje i zawsze coś przyniesie owocu. Gdy burza przejdzie nad łanami, choć je poniszczy i powichrzy, zawsze coś pozostanie: nawet gołe ziarno zasiane jest kiepskie, może mało, ale przecież zawsze z niego coś wyrośnie. Lecz, gdy je kury wydziobią, sytuacja jest

beznadziejna. Podobnie dzieje się z kazaniami, naukami, upomnieniami. Jeżeli natrafi na przeszkody, jak roztrzepanie lub pokusy, może mniej, ale zawsze coś dobrego w duszy z nich pozostanie, ale jeśli spotkają się ze złośliwym szemraniem, krytyką lub czymś podobnym, to wszystko przepadnie, cały plon zostaje zniszczony. Kto zaś ma klaskać w dłonie, płoszyć i czuć, by takie rozmowy nie miały miejsca, to dobrze wiesz.

– Cóż się jednak stało owym klerykom, że nie przeszkadzali złu? – zapytałem.

– Niestety, nic nie przeszkodzili – potwierdził i ciągnął dalej.

– Stali, gapili się, jak nieme posągi, bezmyślni, obojętni, z założonymi rękoma, a inni nie mieli odwagi przeciwstawić się złu. Niektórzy nawet, ale na szczęście tych było niewiele, przyłączyli się do szemrzących i brali udział w złych rozmowach, niszcząc tak do krzty działanie Słowa Bożego. Ty, co jesteś kapłanem, nie zapominaj nalegać, upominać, pouczać, nakłaniać bezustannie, nie obawiaj się, że tego może być kiedykolwiek za wiele. Niech wszyscy głęboko przekonają się, jak wielkim złem jest krytykowanie kazań, nauk, pożytecznych rad i wskazówek. Kto jest bierny na widok szerzącego się zła i nie przeciwstawia się mu, zwłaszcza jeśli może, a tym bardziej, jeśli powinien, ten staje się uczestnikiem grzechów cudzych.

Przejęty tymi słowami, chciałem jeszcze zobaczyć, co się dalej dzieje na polu, chciałem upomnieć kleryków i zachęcić ich do pełnienia swego obowiązku. Rzeczywiście niektórzy ruszyli się i przepędzali kury. Ja zaś zrobiwszy kilka kroków naprzód, zawadziłem o porzucone grabie i... przebudziłem się.

A teraz pomijając wszystko, przejdźmy do nauki moralnej.

– Księżę Barberis, co ksiądz ma do powiedzenia na temat tego snu?

– Mam do powiedzenia – odpowiedział ks. Barberis, iż w nim, kto zasłużył otrzymał porządną burę /bastonata/.

– Całkiem słusznie – ciągnął dalej Ksiądz Bosko. Ów sen jest lekcją, która powinna wszystkim posłużyć. Zapamiętajcie sobie, moi drodzy chłopcy, byście trzymali z dala od siebie wszelkie

szemranie i unikali go, jako wielkiego zła, jak prawdziwej zarazy. Unikajcie go nie tylko sami, ale pomagajcie w tym drugim. Dobre rady, usługi, nie sprawią tyle dobrego, ile uczyni ten, kto przeszkodzi szemraniu, czy złym rozmowom. Zdobądźmy się na odwagę i zwalczajmy je śmiało. Nie masz większego nieszczęścia, jak marnowanie słowa Bożego, a wystarczy nieraz półsłówko, nieroztropny żart ...

Opowiedziałem wam sen, jaki miałem przed paru nocami, ale miałem jeszcze inny ubiegłej nocy, który również chcę wam opowiedzieć, tym bardziej, że jeszcze nie jest tak późno, bo dopiero dziewiąta. Postaram się jednak być krótkim.

Wydawało mi się, że znajduję się w jakiejś miejscowości, już nie przypominam sobie, w jakiej. Ale nie było to ani Castelnuovo, ani Oratorium. Wtem nadbiegł ktoś i woła do mnie:

– Księżę Bosko, niech Ksiądz idzie... Księżę Bosko, Księżę Bosko, prędzej, prędzej...

– A cóż tak pilnego – zapytałem.

– Ksiądz nie wie, co się dzieje?

– Nie wiem, wytłumacz się jaśniej – odparłem niespokojny.

– Proszę Księdza, ów chłopak tak dobry i pełny życia, leży ciężko chory i już jest prawie konający.

– Eh, żartujesz chyba... Przecież dzisiaj rano z nim rozmawiałem.

– Nie żartuję bynajmniej, ale mówię szczerą prawdę. Chłopak ten wzywa gorąco Księdza Bosko. Pragnie się z Księdzem widzieć i porozmawiać...

– Pędzej, bo może być za późno...

Pospieszyłem więc za wołającym, choć nie wiedziałem dokąd. Gdy zaś doszliśmy na miejsce, ujrzałem ludzi smutnych i płaczących, którzy mówili:

– Proszę się spieszyć, już kona...

– Ale cóż się stało? – pytam.

Wprowadzono mnie do jakiegoś pokoju, gdzie ujrzałem chłopca śmiertelnie bladego, podobnego raczej do trupa. Silny kaszel dręczył go nieustannie, a z piersi wydobywało się stłumione rzęzenie tak, iż chory nie mógł nawet słowa wykrztusić.

– Czy to ty jesteś ten a ten? – zapytałem.

– Tak, to ja. Jak się czujesz?

– Ach, bardzo źle... Co ci się stało? Przecież wczoraj, owszem dziś rano, przechadzałem się z tobą pod portykami?

– Tak, odrzekł chłopczyk. Wczoraj i dziś rano przechadzałem się pod portykami, lecz proszę nie zwlekać. Pragnę się wyświadczyć. Pozostaje mi już bardzo mało czasu.

– Bądź spokojny, nie obawiaj się. Świadałeś się przecież przed paru dniami.

– To prawda i zdaje mi się, że nie mam nic ciężkiego na sumieniu. Jednakże pragnę otrzymać rozgrzeszenie, nim stanę przed Boskim Sędzią.

Wysłuchałem jego spowiedzi. Równocześnie zauważyłem, że stan jego pogarsza się z każdą chwilą, bo dech mu zapierało. Trzeba się spieszyć – pomyślałem sobie, jeżeli chory ma przyjąć Wiatyk i otrzymać Ostatnie namaszczenie. A kto wie, czy będzie mógł przyjąć Wiatyk święty z powodu kaszlu... A więc trzeba wziąć przynajmniej oleje święte. Wyszedłem, więc z pokoju i posłałem natychmiast po oleje święte. Chłopcy obecni w pokoju pytali niespokojni:

– Czy doprawdy grozi mu niebezpieczeństwo? Czy już jest konający?

– Niestety – odparłem. Nie widzicie, że oddech staje się coraz cięższy i kaszel dech mu zapiera?

– Może by było jeszcze możliwe przynieść mu Wiatyk i tak posilonego na duszy oddać w ręce Maryi Najświętszej?

Gdy byłem zajęty przygotowaniem potrzebnych rzeczy, słyszę głos: skonał.

Wróciłem do pokoju i zastałem chłopca z oczyma postawionymi w śłup, już martwego.

– Umarł? ... – odezwałem się do dwóch, co przy nim czuwali.

– Umarł, umarł – odpowiedzieli.

– Ale jakżeż tak prędko, tak nagle, czyż to doprawdy on?

– Tak, to on – odrzekli mi.

Wierzyć nie mogę własnym oczom: wczoraj jeszcze przechadzał się ze mną pod portykami...

– Tak, tak, wczoraj chodził, a dziś leży martwy, przytaknęli

smutno.

– Całe szczęście, że był to chłopak wzorowy – powiedziałem do otaczających mnie chłopców. A pomyślcie, że nie miał nawet możliwości przyjęcia Wiatyku i Ostatniego Namaszczenia. Podziękujmy Bogu, że zdołał się wypowiedzieć. Dobry był i przystępował dość często do sakramentów świętych. Możemy mieć nadzieję, że już jest w niebie lub przynajmniej w czyśćcu. A gdyby jego los spotkał któregoś z was, co się działooby z niektórymi?... Uklękliśmy wszyscy i odmówiliśmy psalm: „Z głębokości” – za duszę zmarłego.

Kiedy, wracałem do pokoju, natknąłem się na biegnącego mi naprzeciw z księgarni Ferrarisa, który zatrwożony pyta:

– Czy Ksiądz Bosko wie, co się przed chwilą stało?

– Niestety, wiem. Umarł chłopak N – odparłem.

– Nie o niego chodzi, ale umarli dwaj inni.

– Cóż znowu, którzy?

– Ten i ten...

– A kiedy? Nic nie rozumiem.

– Tak, dwaj inni zmarli, wcześniej, zanim Ksiądz przybył.

– A dlaczego nie wezwaliście mnie ?

– Nie było czasu... Ale niech Ksiądz powie, kiedy ten pierwszy umarł?

– W tej chwili, co dopiero – odpowiedziałem.

– A czy Ksiądz wie, którego dzisiaj mamy – pytał dalej Ferraris.

– Pewno, że wiem. Dzisiaj mamy 22 stycznia, trzeci dzień nowenny do św. Franciszka Salezego.

– Nie – odrzekł Ferraris. Ksiądz Bosko się myli. Niech Ksiądz lepiej zobaczy...

Spojrzałem na kalendarz: był 26 maja.

– To niemożliwe – wykrzyknąłem. Przecież teraz jest styczeń dopiero. Poznaję to choćby z tego, jak jestem ubrany: w maju nikt by się tak grubo nie ubierał. W maju nie ogrzewa się kaloryferów. Nie wiem, co na to powiedzieć, ale dzisiaj rzeczywiście jest 26 maja. Przecież wczoraj dopiero umarł nasz towarzysz, a to był styczeń.

– Myli się Ksiądz, wyjaśniał Ferraris. To było w czasie

Wielkanocnym.

– Tego już za wiele: co jedno zdanie, to większa niedorzeczność.

– A jednak było to w czasie wielkanocnym. Miał wielkie szczęście, że umarł na Wielkanoc, większe niż ci dwaj, co zmarli w miesiącu maryjnym.

– Chyba drwiesz sobie ze mnie. Mów jaśniej, gdyż nic z tego nie rozumiem.

– Bynajmniej nie żartuję. Rzecz ma się tak, jak mówię. Jeżeli zaś Ksiądz chce się przekonać, to proszę uważać...

Tu rozłożył ramiona i mocno zaklaskał w dłonie, a ja się przebudziłem.

– Co za szczęście – zawołałem – że to był sen, a nie rzeczywistość.

– A ja się tak przeraziłem...

Taki sen miałem ubiegłej nocy. Nie chcę przypisywać mu szczególniejszej wagi... Wystarczy mi, że ci, których widziałem martwych we śnie, są żywi i zdrowi. Oczywiście nie wypada podawać teraz nazwisk. Będę ich jednak miał na oku, służąc im radą i zachętą według potrzeby, by mogli być na śmierć przygotowani. Niechże jednak nikt nie mówi sobie: to ten lub tamten, ale niech każdy myśli o swej duszy. A nie potrzebujecie z tego powodu posepnąć. Jedyny wniosek, jaki obecnie powinien wam się nasunąć, to ten podany przez samego Boskiego Zbawiciela w Ewangelii: „Estote parati, quia qua hora non putatis, Filius hominis veniet – bądźcie gotowi...”. Ten, co jest nieprzygotowany, by umrzeć dobrze, stale narażony jest na śmierć nieszczęśliwą. Ja przygotowuję się na tę chwilę jak najstaranniej; i wy czyńcie to samo, abyśmy w każdej chwili gotowi byli na wezwanie Boże przejść do wiecznej szczęśliwości. Dobranoc.

Słów Księdza Bosko słuchano zawsze w religijnym skupieniu. Ale kiedy opowiadał te nadzwyczajne rzeczy, wśród setek chłopców zgromadzonych koło Niego, nikt nie kaszlnął, ani szurgnął nogą. Wrażenie, jakie one wywierały, trwało całe tygodnie i miesiące, a wraz z tymi przeżyciami następowały poważne zmiany w zachowaniu się nawet wielkich łobuzów. Całe gromady chłopców

oblegały wtedy jego konfesjonał... Jakieś przypuszczenie, że zmyśla te opowiadania, by nastraszyć i pobudzić młodzież do poprawy życia, nikomu nawet nie przyszło do głowy, gdyż przepowiednie śmierci sprawdzały się zawsze, a sny odpowiadały rzeczywistości.

Ale czyż niepokój wywołany podobnymi ponurymi przepowiedniami, nie był dla owej młodzieży gniotącą wszystkich zmorą?... Nie wyglądało. Najpierw, na tak wielką ilość ośmiuset chłopców, jacy wtedy byli w Oratorium, za dużo nasuwało się kombinacji i możliwości, by poszczególne jednostki miały się tym zbytnio niepokoić. Poza tym panowało wśród nich ogólne przekonanie, że kto umiera w Oratorium, idzie na pewno do raju i że Ksiądz Bosko przygotowuje ich do śmierci tak, iż się nawet o tym nie spostrzegą.

Takie są zgodne wszystkie świadectwa z owych czasów Oratorium.

Kiedy chłopcy poszli spać, niektórzy współbracia otoczyli Księdza Bosko, wypytując natarczywie, czy to nie, który z nich ma wkrótce umrzeć. Ale Święty uśmiechając się swym zwyczajem i potrząsając głową żartował:

– No, no, niechbym powiedział kto jest, a jeszcze umarłby przed czasem...

Ci widząc, że na ten temat nic nie wskórają, zaczęli z innej beczki pytając, czy są wśród nich tacy, którzy należeli do kur w pierwszym śnie, czyli do szemrających. Ksiądz Bosko spojrzawszy po wszystkich z uśmiechem, rzekł : Może się tam jakiś znalazłby... i zamilkł. Wówczas pytali, czy są między nimi psy nieme. Odpowiedział ogólnikowo i zalecił unikać szemrania i złych rozmów oraz przeszkadzać im.

– Biada takiemu księdzu czy klerykowi – mówił Ksiądz Bosko – który przeznaczony do czuwania nad innymi, choć widzi nieporządki, a nie przeszkadza im. Trzeba wam wiedzieć, że przez szemranie nie rozumiem tylko właściwego szemrania, czy obmawiania /Włosi mówią obcinania sukni na plecach / ale wszelkie rozmowy, słowa. dowcipy, które ubliżają w jaki bądź sposób Słowu Bożemu. W ogóle pragnę zaznaczyć, że wielkie jest to zło stać obojętnie wobec nieporządków a nie przeszkadzać im

według możliwości. Ktoś odważniejszy zapytał jeszcze, co odnosi się we śnie do ks. Barberisa, bo było w nim ponoć coś i dla niego. A ponieważ widać było, że ksiądz Barberis nie miał nic przeciw, by mu to powiedzieć publicznie, a obecni byli tylko sami księża, Ksiądz Bosko tak odrzekł:

– Eh, ks. Barberis nie kładzie na ten punkt dostatecznego nacisku w swoich kazaniach. Ten rzeczywiście potwierdził, że przez cały rok na temat szemrania nie miał ani raz konferencji do nowicjuszków. Oczywiście z uwagi bardzo skrzętnie skorzystał. Tak rozmawiając weszli po schodach pod pokój Księdza Bosko i ucałowawszy go w rękę udali się na spoczynek. Pozostał tylko ksiądz Barberis, który jeszcze towarzyszył Księdzu Bosko do jego sypialni, gdzie niespodziewanie nawiązała się dalsza rozmowa przez jakieś pół godziny. Nie było to w zwyczaju Księdza Bosko, ale w tym wypadku był widocznie mocno przejęty tym, co widział i rozmową z księdzem Barberisem chciał się jakoś uspokoić. Między innymi tak mu się zwierzał:

– We śnie widziałem wszystkich i widziałem stan duszy każdego. Poznałem, kto kura, kto pies niemy, czy upomniany zabrał się do roboty czy nie. Tym posługuję się przy spowiedziach, przy napominaniu czy publicznym, czy prywatnym, dopóki to nie odniesie skutku. Z początku nie przypisywałem większej wagi podobnym snom, ale z biegiem czasu przekonałem się, że są one skuteczniejsze od niejednego kazania, a nawet od kolekcji i dlatego z nich korzystam. A czemuż nie miałbym korzystać? Czytamy w Piśmie świętym: Probate spiritus; quod bonum est tenete. Widzę, że chłopcy z nich korzystają, że słuchają ich z przyjemnością, czemu więc miałbym je taić? Owszem, przekonuję się, że one przywiązują ich tym bardziej do Zgromadzenia.

– I ja przekonałem się o tym – przerwał ks. Barberis – jak wielce pożyteczne i zbawienne są te sny. Nawet opowiadane gdzie indziej robią dużo dobrego. Gdzie Ksiądz Bosko jest znany, tam się je opowiada, jak jego sny, a gdzie jest nieznany, tam służą one dobrze, jako symboliczne przypowieści. O gdyby tak można sporządzić ich zbiór i wykorzystać właśnie, jako przykłady alegoryczne w kazaniach. Byłyby one poszukiwane

i czytane tak przez małych jak wielkich, przez młodych i starych z wielką korzyścią dla ich dusz.

– Tak, tak zrobiłyby dużo dobrego, jestem o tym głęboko przekonany.

– Wielka szkoda – zauważył z żalem ks. Barberis – że ich nikt nie spisuje.

– Ja, ciągnął dalej Ksiądz Bosko- nie mam czasu, a wielu już nie pamiętam nawet.

– Te, które ja sobie przypominam – podchwycił ks. Barberis – to są sny, które odnoszą się do rozwoju Zgromadzenia pod płaszczem Madonny...

– Ach tak – zawołał Ksiądz Bosko – i zaraz kilka z nich przypomniął.

Następnie z miną poważną i z pewnym niepokojem dodał:

– Kiedy myślę o swej odpowiedzialności w warunkach, w jakich się znajduję, cały drżę... Jakiż straszny rachunek będę musiał zdać przed Bogiem z tych wszystkich łask, jakich nam udziela dla rozwoju naszego Zgromadzenia.

(MB IT XII, 40-51/MB PL XII, 25-33)

Zdjęcie: [shutterstock.com](https://www.shutterstock.com)

Małe owieczki i letnia burza (1878)

Poniższa oniryczna opowieść, którą Don Bosco opowiedział wieczorem 24 października 1878 roku, to znacznie więcej niż tylko wieczorna rozrywka dla młodzieży z Oratorium. Poprzez delikatny obraz jagniąt zaskoczonych gwałtowną letnią burzą, święty wychowawca tworzy żywą alegorię wakacji szkolnych: czasu pozornie beztroskiego, ale pełnego duchowych

niebezpieczeństw. Kusząca łąka reprezentuje świat zewnętrzny, grad symbolizuje pokusy, podczas gdy chroniony ogród nawiązuje do bezpieczeństwa oferowanego przez życie w łasce, sakramenty i wspólnotę wychowawczą. W tym śnie, który staje się katechezą, Don Bosco przypomina swoim chłopcom – i nam – o pilnej potrzebie czujności, uciekania się do Bożej pomocy i wzajemnego wspierania się, aby powrócić do codziennego życia w pełni sił.

Przechowujemy sen o skutkach wyjazdu chłopców na wakacje, opowiedziany przez Księdza Bosko 24 października 1878 r. Zaledwie dał on do zrozumienia, że ma coś im opowiedzieć, w całym audytorium dał się słyszeć szmer ukontentowania. Tak więc zaczął:

Bardzo rad jestem mogąc oglądać swoje wojsko uzbrojone do walki *contra diabolum*. Myślę, że tyle łaciny rozumie także i Sottino /był to służący w jadalni przełożonych, który kandydował na poetę/. Wiele rzeczy miałbym, moi drodzy wam do powiedzenia, choćby z tego powodu, że mówię po raz pierwszy do was po wakacjach. Ale na razie zadowolę się opowiedzeniem wam mego snu. Wy wiecie dobrze, że śni się we śnie, i że trzeba snom wierzyć. No, ale jeśli nie ma nic złego w tym, że się snom nie wierzy, to tyle razy nie ma nic złego i w tym, że im się wierzy, bo niekiedy mogą one być nauczka, jak na przykład ten, który wam w tej chwili opowiem.

Otóż byłem w Lanzo na pierwszej serii rekolekcji i spałem a naraz znalazłem się w miejscu, którego nie umiałbym określić, co by to była za okolica. Ale było to blisko ogrodu, obok, którego zieleniła się obszerna łąka. Kilku znajomych, co mnie otaczali, zapraszali mnie bym wszedł do tego ogrodu. Wszedłem i ujrzałem wielką ilość baranków, które baraszkowały między sobą, jak to jest w ich zwyczaju. Wtem otwiera się brama prowadząca na łąkę i owe baranki rzuciły się przez nią, by skorzystać z pięknej paszy. Niektóre jednak nie pobięły z tymi, ale pozostały w ogrodzie szczypiąc tu i tam rosnącą trawkę, choć nie tak bujną jak ta na łące, na która wybiegły

tamte. Chciałbym wiedzieć, co robią owe baranki za bramą, rzekłem do siebie i wyszliśmy na łąkę. Owe zwierzątka pasły się spokojnie. Naraz niebo zaciemnia się. Migają błyskawice, dają się słyszeć grzmoty, słowem nadciągała burza. Cóż teraz będzie z tymi barankami, jeśli na nie runie nawałnica pytałem siebie. Wypada je spędzić do miejsca bezpieczniejszego wtedy ja z jednej strony, moi towarzysze z drugiej usiłowaliśmy je nagać z powrotem do ogrodu. Ale baranki w ogóle nie chciały wracać. Jedne uciekają tu, drugie gdzie indziej... no, pewno miały lepsze nogi od naszych!... A tu już zaczęły padać pierwsze krople deszczu, który wnet lunął strugami, a my nie mogliśmy się z tą trzecią uporać. Parę tylko owieczek wróciło do ogrodu, inne, a było ich dużo, uparcie kręciły się po łące, no dobrze, jak nie chcą się schronić, to gorzej dla nich, a my uciekajmy. I weszliśmy do ogrodu.

W ogrodzie była fontanna, na której widniał napis: FONS SIGNATUS. Fontanna dotąd przykryta, naraz się otworzyła, strumień wody buchnął do góry, rozdzielił się i utworzył wspaniałą tęczę na kształt sklepienia, jakby tego tutaj portyku /Książd Bosko opowiada sen po portyku/. Tymczasem pioruny biły coraz częściej i z wielkim szumem zaczął padać grad. My z barankami, które pozostały w ogrodzie, schroniliśmy się i skupili pod owym cudownym sklepieniem, przez które nie mogła nas dosięgnąć ani ulewa, ani grad. A cóż to wszystko ma znaczyć – pytałem swoich przyjaciół – a co będzie z tymi niebożátkami, które zostały za bramą? Zobaczysz! – odpowiedzieli. A przypatrz się, co te baranki mają na czołach... Popatrzyłem lepiej i zauważyłem, że na ich czołach wypisane były imiona chłopców z Oratorium. A co to ma znaczyć? – zapytałem. Zobaczysz! Zobaczysz! Już nie mogłem wytrzymać i koniecznie chciałem przekonać się, co jest z tymi barankami poza bramą; Jeśliby, który został zabity, to go wezmę i odeślę do Oratorium myślałem sobie. Wyszedłszy spod tęczowego sklepienia dobrze zmokłem, a owe biedaczki za bramą zobaczyłem leżące na ziemi, poruszające nóżkami, jakby chciały wstać i schronić się do ogrodu. Lecz nie miały na tyle siły. Nawoływałem, ale bezskutecznie. Deszcz i grad tak je stłukł i

dalej bardziej kaleczył, że doprawdy litość brała. Jedne miały rozbite głowy, drugie szczęki, inne oczy czy nóżki, względnie inne części ciała... Nareszcie burza ustała.

Zobacz no – mówi jeden z tych, co stali koło mnie. Zobacz na czoła tych baranków. I na tych czołach ujrzałem imiona wychowanków Oratorium. Ach, powiedziałem sobie. Znam, tego chłopca, którego tam imię wypisane, ale wcale na baranka nie wygląda. Zobaczysz, zobaczysz – odpowiedziano – i podano naczynie złote z przykrywką srebrną. Namaść swoją rękę, namoczywszy ją w tej maści, rany tych zwierząt a zobaczysz, iż zaraz wyzdrowieją. Zacząłem, więc wołać: brr, brr, brr, ale one się nie ruszyły. Powtarzam wołanie i nic. Podchodzę do jednego, a on czołgając się umyka. Co nie chcesz? Gorzej dla ciebie, zawołałem i podchodzę do drugiego, ale i ten wymyka się. I każdy, do którego chciałem podejść i namaścić go, by wyzdrowiał, uciekał. Biegłem za nimi, ale to było bezskuteczne. Nareszcie jednego, co miał oczy wybałuszone na zewnątrz dogoniłem. Dotknąłem go ręką i zaraz wyzdrowiał, a podskakując radośnie pobiegł do ogrodu.

Wówczas inne baranki zauważywszy to, nie stroniły już ode mnie, ale pozwoliły się namaścić i tak zdrowe, mogły wrócić do ogrodzenia. Niestety wiele jeszcze pozostało za bramą, a były to te najbardziej poranione. Jeśli nie chcą zostać uleczone, gorzej dla nich... Ale jak je tu spędzić do ogrodu? ...

Daj spokój – rzekł jeden z tych, co mi towarzyszyli. Przyjdą, przyjdą sami. Zobaczymy i odłożyłem złote naczynie, powracając do ogrodu, u którego wejścia odczytałem napis: Oratorium. Zaledwie wszedłem, a owe uparte baranki, co nie chciały wejść, podchodzą ku bramie, ukradkiem wciskając się do środka i rozbiegają się tu i tam, tak, że i tu jeszcze nie mogłem się do nich zbliżyć. Kilka było takich, co niechętnie przyjmowały zabiegi ową maścią i dla takich, ona zamieniła się w truciznę zamiast je leczyć. Patrz, patrz, widzisz ten sztandar? rzekł mój przyjaciel. Oglądnąłem się i widzę sztandar z napisem: WAKACJE. Tak widzę! – odpowiedziałem. Oto skutek wakacji – tłumaczył mi jeden z towarzyszy, bo ja prawie byłem nieprzytomny z bóleści, na widok tego, co oglądałem. Twój

chłopcy wyjeżdżają na wakacje z najlepszą wolą, aby i w czasie wakacji korzystać ze Słowa Bożego i zachować się dobrymi. Ale nadchodzi burza, czyli pokusy, potem lunie deszcz, czyli nastąpią ataki szatana, wreszcie spadnie grad, czyli biedni chłopcy popadają w grzechy. Niektórzy wyleczą się jeszcze przez spowiedź. Wielu jednak nie umie z niej korzystać, albo w ogóle do spowiedzi nie przystępuje... Zapamiętaj to sobie i nie przestawaj powtarzać swoim chłopcom, że wakacje dla nich będą burzliwym przeżyciem. Patrzyłem wzruszony na owe baranki, tym bardziej, że niektórych rany były doprawdy śmiertelne i przemyślałem nad sposobem ich wyleczenia... Ale ksiądz Scapini, który spał w sąsiednim pokoju, wstawszy spowodował jakiś hałas, obudził mnie.

To jest sen, ale chociaż jest to tylko sen, to jednak wyraża on coś, co może dobrze zrobić tym, co się nim zainteresują. Mogę również wam powiedzieć, iż zapamiętałem sobie imiona owych baranków ze snu, a zestawivszy ich z odnośnymi chłopcami, przekonałem się, że ci ostatni byli doprawdy w takim stanie, w jakim widziałem ich we śnie... W każdym razie w czasie tej nowenny do Wszystkich Świętych, skorzystajmy z Miłosierdzia Bożego i dobrą spowiedzią ulecmy rany naszej duszy.

Ten sen bardzo korzystnie wpłynął na słuchaczy i wielce przyczynił się do dobrego rozpoczęcia nowego roku szkolnego. I rzeczywiście w czasie nowenny do Niepokalanej, mógł Ksiądz Bosko z radością oświadczyć, że chłopcy w tym roku w grudniu są na tym punkcie, na jakim zwykle bywali dopiero w lutym.

(MB IT XIII 761-764/ MB PL XIII, 395-397)

Dary młodzieży dla Maryi (1865)

We śnie opowiedzianym przez księdza Bosko w Kronice Oratorium, datowanym na 30 maja, nabożeństwo maryjne staje się żywym symbolicznym osądem młodzieży z Oratorium: pochod chłopców, każdy z darem, staje przed wspaniale udekorowanym ołtarzem dla Dziewicy. Anioł, stróż wspólnoty, przyjmuje lub odrzuca ofiary, odsłaniając ich moralne znaczenie – pachnące lub zwiędłe kwiaty, ciernie nieposłuszeństwa, zwierzęta uosabiające ciężkie wady, takie jak nieczystość, kradzież i zgorszenie. W sercu tej wizji rozbrzmiewa wychowawcze przesłanie księdza Bosko: pokora, posłuszeństwo i czystość to trzy filary, dzięki którym można zasłużyć na różany wieniec Maryi.

W bolesnych przeżyciach pociechą dla Księdza było nabożeństwo do Matki Bożej, zwłaszcza w miesiącu maju. Z jego słówek zachowało się jedno z 30 maja:

30 maja

Widziałem wielki ołtarz przystrojony wspaniale kwiatami ku czci Madonny oraz chłopców idących procesjonalnie ku niemu. Śpiewali pobożne pieśni, choć nie wszyscy jednakowym głosem. Byli tacy, co robili to doprawdy z artyzmem, inni głosem chrapliwym i brzydkim, inni fałszowali melodię; niektórzy podchodzili milcząco i oddalali się z rzędów, inni bładzili jakby znudzeni, to szturchali się wzajemnie lub śmiali.

Młodzież składała dary Matce Bożej: bukiety kwiatów większe lub mniejsze: róże, goździki, fiołki etc.. Ale byli i tacy, co przynosili dziwaczne podarunki, np. głowę wieprzka, kota, talerz z ropuchami, królika, baranka i inne.

Przed Ołtarzem Anioł Stróż Oratorium odbierał prezenty od chłopców i składał je na ołtarzu. Gdy chłopcy podawali bukiety, on oglądał je, rozwiązywał, usuwał zeschłe, potem

związane na nowo kładł na ołtarzu. Gdy znalazły się piękne z wyglądu, lecz bez zapachu, jak dalie, kamelie, Anioł odrzucał je również, gdyż Maryja chce rzeczywistości a nie pozoru tylko.

Niekiedy wśród kwiatów znalazły się ciernie lub gwoździe i te również usuwał Anioł. Gdy podszedł ten, co niósł prosie, Anioł powiedział mu groźnie:

– Jak to? Masz odwagę składać taki dar Madonnie? Czy nie wiesz, co znaczy prosie? To jest wstrętne nieskromność. Maryja sama czystość, nie zniesie tego występku. Odejdź stąd natychmiast, bo nie jesteś godny stanąć przed Jej obliczem.

Gdy podszedł któryś z kotem, Anioł powiedział:

– I ty także śmiesz złożyć Maryi taki prezent? Wiesz, co znaczy kot? To symbol kradzieży. I ty chcesz złożyć jej taki dar? To złodzieje tacy, co kradną kolegom pieniądze, książki, wynoszą coś z Oratorium, niszczą odzież marnotrawią pieniądze rodziców, którzy na nich łożą, nie ucząc się. I oddalił ich precz od ołtarza.

Gdy podeszli z talerzami pełnymi ropuch, Anioł powiedział:

– Ropuchy to symbol zgorszenia i wy macie czelność ofiarować je Madonnie? Precz stąd i odegnał ich.

Inni mieli nóż utkwiony w sercu. Oznaczało to świętokradztwa popełnione. Anioł rzekł do nich:

– Nie wiecie, że nosicie śmierć w swej duszy? I jeśli żyjecie jeszcze, to dzięki szczególnej łasce Boga? Inaczej bylibyście zgubieni. Na miłość Boską, pozwólcie sobie wyrwać ten nóż z serca!

I tych również oddalił.

Kolejno chłopcy składali: baranki, króliki, rybki, orzechy, winogrona itp. Anioł przyjmował to i kładł na ołtarzu. Tak podzieliwszy chłopców na dwie strony: dobrych i złych, dobrym polecił przedefilować koło ołtarza. Ku mojej przykrości, stwierdziłem, że złych znalazło się daleko więcej niż dobrych. Wówczas z jednej i drugiej strony ołtarza zjawili się dwaj inni Aniołowie niosąc dwie wspaniałe tace z uwitymi koronami z róż. Nie były to róże ziemskie, lecz jakby symbole nieśmiertelności. Anioł stróż biorąc je wieńczył nimi chłopców

stojących przed ołtarzem. Były tam wieńce mniejsze i większe, wszystkie wspaniałe.

Zauważcie, że nie byli to tylko chłopcy z domu, lecz mnóstwo innych, których dotąd nie znałem. Ale oto stała się rzecz dziwna! Byli tam chłopcy z wyglądu mizerni i niesympatyczni, ale otrzymywali najpiękniejsze korony, znakiem tego, że wewnętrzna czystość ich duszy uzupełniała brak powierzchowności. Wielu posiadało tę cnotę, lecz nie w stopniu wybitnym. Inni wyróżniali się w innych cnotach, na przykład w posłuszeństwie, miłości Bożej, wszyscy ci otrzymywali korony proporcjonalnie do swych cnót.

Anioł przemówił do nich:

– Maryja chciała was dzisiaj uwieńczyć pięknymi różami. Starajcie się nigdy ich nie stracić. Trzy są środki dla ich zachowania: pokora, posłuszeństwo, skromność: trzy cnoty, przez które staniecie się dla Madonny mili, a kiedyś otrzymacie wieniec nieskończenie piękniejszy niż ten.

Wówczas młodzież zaintonowała hymn *Ave Maria stella*. Po odśpiewaniu pierwszej zwrotki, w tym samym porządku zaczęli wychodzić z kościoła śpiewając pieśń *Lodate Maria* głosem tak potężnym, że zdumiewało mnie. Towarzyszyłem im jakiś czas, potem wróciłem się, by obserwować, co się stanie z chłopcami odłączonymi na bok, lecz ich już nie zobaczyłem.

Moi drodzy!

Wiem, którzy byli nagrodzeni przez Anioła, a którzy odrzuceni. Powiem o tym poszczególnym, by starali się przynosić Madonnie dary jej miłe.

Teraz parę uwag: pierwsze, przynosiliście wszelkiego rodzaju kwiaty Madonnie, lecz zauważyłem, że wśród nich trafiały się kolce. Myślałem wiele, co by to znaczyło i przekonałem się, że jest to nieposłuszeństwo, trzymanie pieniędzy i nie oddawanie ich prefektowi, zmienianie miejsca bez pozwolenia, wchodzenie do sypialń przekraczając zakaz, fundowanie podwieczorku potajemnie, wylegiwanie się w łóżkach, opuszczanie przepisanych praktyk religijnych, rozmawianie w czasie milczenia, kupowanie książek bez wiedzy przełożonych,

wysyłanie listów pokątnie, handel między kolegami, oto, co oznaczały ciernie.

Wielu spyta może: Czy to grzech przekraczanie przepisów domowych? Zastanawiałem się nad tą kwestią i muszę odpowiedzieć stanowczo, że tak. Nie chcę powiedzieć, że to grzech ciężki czy lekki, to zależy od okoliczności, lecz zawsze jest przekroczenie grzeszne.

Ktoś powie: Nie ma przepisu w przykazaniach Bożych, że winniśmy słuchać regulaminu domowego.

Otóż posłuchajcie: Jest przykazanie: Czcij ojca i matkę swoją! Wiecie, co oznaczają słowa: ojciec, matka? Obejmują także tych, co ich zastępują. A Pismo Św. mówi: „Bądźcie posłuszni waszym przełożonym”. Jeśli macie obowiązek słuchać, to my mamy obowiązek rozkazywać. Oto początek regulaminu domowego i obowiązek jego zachowania.

Druga uwaga: Niektórzy mieli między kwiatami gwoździe, które służyły do ukrzyżowania Pana Jezusa. Jak to? A no zaczyna się zawsze od małych rzeczy, potem przechodzi się do poważniejszych. Któryś chciał mieć pieniądze dla zadowolenia swych zachcianek; dlatego by móc je wydawać samowolnie, nie chce złożyć je w depozyt przełożonemu. Potem sprzedawał swe książki szkolne i skończył kradzieżą pieniędzy i rzeczy kolegów. Drugi folgując smakowi kupował wino, lemoniadę etc., pozwalał sobie coraz więcej aż wpadł w grzechy śmiertelne. Oto, w jaki sposób znalazły się wśród kwiatów gwoździe, którymi krzyżowano Zbawiciela. Wszak Apostoł mówi, że grzechy ludzkie krzyżują Zbawiciela.

Trzecia uwaga: Wielu chłopców w swych bukietach miało obok świeżych kwiatów zwiędłe lub na oko piękne, lecz bez zapachu. Znaczy to, że ich dobre uczynki były spełnione w stanie grzechu śmiertelnego, dlatego nieskuteczne dla powiększenia ich zasługi, a kwiaty bez zapachu oznaczały dobre uczynki spełniane dla celów ziemskich, np. z ambicji lub dla przypodobania się nauczycielom lub przełożonym. Dlatego Anioł ganił ich, że przynosili takie prezenty dla Matki Najświętszej i odsyłał, by uporządkowali swój bukiet. Cofnięci rozkładali bukiet, wyrzucali kwiaty zwiędłe i na nowo związawszy go

przystępowali do ołtarza wręczając Aniołowi, który wtedy go przyjmował i kładł na ołtarzu.

Widziałem, zatem wszystko, co się dzieje wśród mych chłopców. Wielu już o tym powiedziałem, innym jeszcze powiem. Wy starajcie się, by Najświętsza Dziewica otrzymywała od was zawsze dary, które nie zostałyby odrzucone.

(MB IT VIII, 129-132, MB PL, 76-80)

Zdjęcie otwierające: Carlo Acutis podczas wizyty w sanktuarium maryjnym w Fatimie.

Czystość i środki do jej zachowania (1884)

W tym śnie Jana Bosko pojawia się rajski ogród: zielone zbocze, drzewa przystrojone girlandami, a pośrodku ogromny, śnieżnobiały dywan ozdobiony biblijnymi napisami, które wysławiają czystość. Na skraju siedzą dwie dwunastoletnie dziewczęta, ubrane na biało, przepasane czerwonymi pasami i w kwiatowych koronach: uosabiają Niewinność i Pokutę. Łagodnym głosem rozmawiają o wartości niewinności chrzcielnej, o niebezpieczeństwach, które jej zagrażają, oraz o ofiarach koniecznych, by ją zachować: modlitwa, umartwienie, posłuszeństwo, czystość zmysłów.

Wydawało mu się, że ma przed sobą ogromną, czarującą, zieloną łąkę, łagodnie nachyloną i równą. U jej podnóża łąka ta tworzyła raczej niski stopień, z którego można było zeskoczyć na małą drogę, na której stał Ksiądz Bosko. Wyglądało to jak ziemski raj pięknie oświetlony światłem czystszy i żywszy niż słońce. Wszystko było pokryte zielonymi trawami pokrytymi tysiącem odmian kwiatów i

zacienione przez ogromną liczbę drzew, które, ściskając się nawzajem, rozpościerały je jak szerokie festony.

Pośrodku ogrodu, aż do końca, rozciągał się dywan o magicznej bieli, ale tak błyszczący, że oślepiał oko; był szeroki na kilka mil. Prezentował wspaniałość królewskiego państwa. Jako ornament w pasie biegnącym wzdłuż krawędzi miał różne napisy i złote litery. Po jednej krawędzi widniał napis: *Beati immaculati in via, qui ambulant in lege Domini* (Szczęśliwi, których droga nieskalana, którzy postępują według Prawa Pańskiego, Ps 119, 1). Na drugiej krawędzi: *Non privabit bonis eos, qui ambulant in innocentia* (Nie odmawia dobrodziejstw żyjącym nienagannie, Ps 84, 12). Na trzeciej krawędzi: *Non confundentur in tempore malo: in diebus famis saturabuntur* (W czasie klęski nie zaznają wstydu, a w dniach głodu będą syci, Ps 37, 19). Na czwartej krawędzi: *Novit Dominus dies immaculatorum et haereditas eorum in aeternum erit* (Pan zna dni ludzi bez zarzutu, a ich dziedzictwo trwać będzie na wieki, Ps 37, 18).

W czterech rogach ściany wokół wspaniałej rozety znajdowały się cztery inne napisy: *Cum simplicibus sermocinatio eius* (Z wiernymi obcuje przyjaźnie, Prz 3, 32). – *Proteget gradientes simpliciter* (On chowa pochodzenie dla prawych, Prz 2, 7) – *Qui ambulant simpliciter, ambulant confidenter* (Kto postępuje nienagannie – bezpieczny, Prz 10, 9) – *Voluntas eius in iis, qui simpliciter ambulant* (Upodobaniem Jego ci, których droga jest nienaganna, Prz 11, 20).

Po środku ściany ostatni napis: *Qui ambulant simpliciter, salvus erit* (Kto postępuje bez zarzutu, będzie ocalony, Prz 28, 18).

Pośrodku brzegu na górnej krawędzi białego dywanu stał bardzo biały transparent, na którym również złotymi literami wypisano: *Fili mi, tu semper mecum es et omnia mea tua sunt* (Synu, Ty zawsze jesteś ze mną i wszystko, co moje, jest Twoje, Łk 15, 31).

Jeśli Ksiądz Bosko był zdumiony widokiem tego ogrodu, o wiele bardziej przyciągnęły jego uwagę dwie

niewyraźne małe dziewczynki w wieku dwunastu lat, siedzące na schodku na skraju dywanu. Z ich pełnej wdzięku postawy emanowała niebiańska skromność. Z ich oczu nieustannie wpatrzonych w górę przeświecała nie tylko niewinna prostota gołębic, ale także żywość najczystszej miłości, radość niebiańskiego szczęścia. Ich szerokie, pogodne czoła zdawały się być siedzibą szczerości i uczciwości, a na ustach gościł słodki, czarujący uśmiech. Ich rysy ukazywały czułe i żarliwe serca. Pełne wdzięku ruchy ich osób nadawały im aurę nadludzkiej wielkości i szlachetności, która kontrastowała z ich młodością.

Do ich stóp opadała najczystsza szata, na której nie było widać żadnej plamki, zmarszczki ani nawet drobinki kurzu. Ich biodra przepasane były ognistoczerwonym pasem ze złotą lamówką. Na nim znajdował się przypominający wstążkę fryz z lilii, fiołków i róż. Podobną wstęgę, jak naszyjnik, nosiły na szyi, złożoną z tych samych kwiatów, ale o innym kształcie. Jako bransoletki miały na nadgarstkach opaski z białych stokrotek. Wszystkie te rzeczy i kwiaty miały kształty, kolory i piękno, których nie sposób opisać. Wszystkie najcenniejsze kamienie na świecie, opracione z największym kunsztem, w porównaniu z nimi wydawałyby się błotem.

Najczystsze buty były obszyte czystą białą wstążką ze złotą nitką, która tworzyła piękny węzeł pośrodku. Sznur, którym były przewiązane, również był biały z drobnymi nitkami złota.

Ich długie włosy były podtrzymywane przez koronę, która okalała ich czoła i była tak gęsta, że tworzyła falę pod koroną i opadała na ramiona, kończąc się lokami.

Rozpoczęły one dialog: na zmianę rozmawiały, pytały, wykrzykiwały. Oboje siedziały; albo jedna siedziała, a druga stała, albo spacerowały. Ale nigdy nie wyszły poza ten biały dywan i nigdy nie dotknęły trawy ani kwiatów. Ksiądz Bosko stał jak widz w swoim śnie. Nie skierował żadnych słów do dziewcząt, ani dziewczęta nie zdawały sobie sprawy z jego obecności, kiedy to jedna z nich powiedziała najśłodszy akcentem:

– Czym jest niewinność? To szczęśliwy stan łaski uświęcającej zachowany dzięki stałemu i dokładnemu przestrzeganiu prawa Bożego.

I druga panna głosem nie mniej słodkim dodała:

– A zachowana czystość niewinności jest źródłem i początkiem wszelkiej wiedzy i cnoty.

Pierwsza:

– Co za blask, co za chwała, co za splendor cnoty, aby dobrze żyć wśród niegodziwców, a wśród niegodziwców zachować szczerość niewinności i łagodność moralności.

Druga wstała i stanęła obok swojej towarzyszki:

– Błogosławiony młodzieniec, który nie idzie za radami bezbożnych i nie wchodzi na drogę grzeszników, lecz jego rozkoszą jest prawo Pańskie, nad którym rozmyśla dniem i nocą. I będzie jako drzewo zasadzone nad strumieniem wód łaski Pańskiej, które we właściwym czasie wyda obfity owoc dobrych uczynków: przez podmuch wiatru nie spadnie z niego liść świętych intencji i zasług, a wszystko, co czyni, będzie miało pomyślny skutek, a każda okoliczność życia będzie współpracować, aby zwiększyć jego nagrodę. – Mówiąc to, wskazywała na drzewa w ogrodzie pełne pięknych owoców, które roztaczały w powietrzu rozkoszne zapachy, podczas gdy krystalicznie czyste strumienie, płynące między dwoma kwitnącymi brzegami, spadające z małych wodospadów, tworzące małe jeziora, kąpały ich pnie z szmerem, który wydawał się tajemniczym dźwiękiem odległej muzyki.

Pierwsza panna odpowiedziała:

– Jest jak lilia pośród cierni, którą Bóg gromadzi w swoim ogrodzie, aby umieścić jako ozdobę nad swoim sercem; i może powiedzieć do swego Pana: Mój Umiłowany należy do mnie, a ja do niego: bo żywi się pośród lilii. – Mówiąc to, wskazała na mnóstwo lilii, które unosiły swoje białe główki wśród traw i innych kwiatów, a w oddali pokazała bardzo wysoki zielony żywopłot, który otaczał cały ogród. Był on gęsty od cierni, a za nim widać było błakające się jak cienie plugawe potwory, które próbowały wdrzeć się do ogrodu, ale powstrzymywały je ciernie żywopłotu.

– To prawda! Ile prawdy jest w twoich słowach! – dodaje druga. Błogosławiony młodzieniec, który zostanie uznany za nienagannego! Ale kto to będzie i czy mamy go chwalić? On dokonał cudownych rzeczy w swoim życiu. Został uznany za doskonałego i będzie miał wieczną chwałę. Mógł grzeszyć, a nie grzeszył; czynić zło, a nie czynił zła. Dlatego jego dobre uczynki są utwierdzone w Panu, a jego dobre uczynki będą sławione przez wszystkie zgromadzenia świętych.

– A na ziemi, jaką chwałę Bóg dla nich rezerwuje! On ich powoła, uczyni ich miejscem w swoim sanktuarium, uczyni ich sługami swoich tajemnic i da im wieczne imię, które nigdy nie zginie, zakończył poprzedni.

Druga wstała i wykrzyknęła:

– Któż może opisać piękno niewinnego? Ta dusza jest ubrana wspaniale jak jedna z nas, ozdobiona białą szatą świętego Chrztu. Jej szyja, ramiona lśnią boskimi klejnotami, na palcu ma pierścień przymierza z Bogiem. Lekko kroczy w swojej podróży do wieczności. Droga usiana gwiazdami leży przed nią... Jest żywym przybytkiem Ducha Świętego. Z krwią Jezusa płynącą w jej żyłach i ożywiającą jej policzki i usta, z Trójcą Świętą w jej niepokalanym sercu, wysyła wokół siebie strumienie światła, które odziewają ją w blask słońca. Z góry spadają chmury niebiańskich kwiatów, które wypełniają powietrze. Wokół rozbrzmiewają delikatne harmonie aniołów, które powtarzają jej modlitwę. Najświętsza Maryja Panna stoi u jej boku, gotowa do obrony. Niebo jest dla niej otwarte. Staje się widowiskiem ogromnych legionów świętych i błogosławionych duchów, które zapraszają ją, machając dłońmi. Bóg, pośród niedostępnych wspaniałości swego tronu chwały, prawą ręką wskazuje jej miejsce, które dla niej przygotował, podczas gdy lewą ręką trzyma wspaniałą koronę, która musi ją ukoronować na zawsze. Niewinny jest pragnieniem, radością, aplauzem raj. A na jego twarzy wyryta jest niewysłowiona radość. On jest synem Boga. Bóg jest jego Ojcem. Raj jest jego dziedzictwem. Nieustannie przebywa z Bogiem. Widzi go, kocha go, służy mu, posiada go, cieszy się nim, ma promień niebiańskich rozkoszy: jest w posiadaniu wszystkich skarbów, wszystkich łask,

wszystkich tajemnic, wszystkich darów i wszystkich Jego doskonałości oraz samego Boga.

– I właśnie z tego powodu niewinność świętych w Starym i Nowym Testamencie, a zwłaszcza w męczennikach, prezentuje się tak chwalebna. O Niewinności, jakże jesteś piękna! Kuszony wzrastasz w doskonałości, upokorzony wznosisz się wznioślej, walczyłeś, triumfujesz, zabity lecisz ku koronie. Wolna w niewoli jesteś, spokojna i bezpieczna w niebezpieczeństwach, szczęśliwa pośród łańcuchów. Potężni kłaniają się tobie, książęta cię witają, wielcy cię szukają. Dobrzy są ci posłuszni, źli ci zazdroszczą, rywale cię naśladowają, przeciwnicy ulegają. I zawsze będziesz zwycięska, nawet gdy ludzie potępiają cię niesprawiedliwie!

Dwie panny zatrzymały się na chwilę, jakby chciały złapać oddech po gorącym wybuchu, po czym chwyciły się za ręce i spojrzały na siebie:

– Och, gdyby młodzi ludzie wiedzieli, jak cennym skarbem jest niewinność, jak zazdrośnie strzegliby szaty świętego Chrztu od początku swojego życia! Ale niestety, nie zastanawiają się i nie myślą, co to znaczy ją splamić. Niewinność jest najcenniejszym trunkiem.

– Ale jest zamknięta w wazonie z kruchej gliny i jeśli nie jest noszona z wielką ostrożnością, łatwo się stłucze.

– Niewinność jest najcenniejszym klejnotem.

– Ale jeśli jej wartość nie jest znana, jest tracona i łatwo przekształca się w nikczemny przedmiot.

– Niewinność jest złotym zwierciadłem, które ukazuje podobieństwo Boga.

– Ale wystarczy odrobina wilgotnego powietrza, by zardzewiało i musi być owinięte zasłoną.

– Niewinność jest lilią.

– Ale zwykły dotyk szorstkiej dłoni psuje ją.

– Niewinność jest białą szatą. *Omni tempore sint vestimenta tua candida* (W każdym czasie niech szaty twe będą białe, Koh 9, 8).

– Wystarczy jednak jedna plama, by ją zniszczyć,

dlatego należy postępować z wielką ostrożnością.

– Niewinność i nieskazitelnność zostają naruszone, jeśli zostaną skalane przez jedną plamę i utracą skarb swojej łaski.

– Wystarczy jeden grzech śmiertelny.

– Raz utracone jest stracone na zawsze.

– Co za nieszczęście, że tak wiele niewinności ginie każdego dnia! Kiedy młody człowiek popada w grzech, raj się zamyka: Najświętsza Dziewica i Anioł Stróż znikają, muzyka ustaje, światło zanika. Bóg nie jest już w jego sercu, gwiazdzista ścieżka, którą przemierzał, znika, on upada i pozostaje w jednym miejscu jak wyspa pośród morza, morza ognia rozciągającego się aż po krańce horyzontu wieczności, tonącego w głębinach chaosu. Nad jego głową na ciemniejącym niebie wystrzeliły groźnie pioruny boskiej sprawiedliwości. Szatan zbliżył się do niego, obciążył go łańcuchami, położył stopę na jego szyi i z ohydym pyskiem uniesionym w górę krzyczał: Wygrałem. Twój syn jest moim niewolnikiem. Nie jest już twój... Radość dla niego się skończyła. Jeśli Boża sprawiedliwość w tym momencie odbierze mu to jedno miejsce, na którym stoi, jest stracony na zawsze.

– On może zmartwychwstać! Boże miłosierdzie jest nieskończone. Dobra spowiedź przywróci mu łaskę i tytuł syna Bożego.

– Ale już nie niewinności! A jakie konsekwencje pozostaną mu po pierwszym grzechu! Pozna zło, którego wcześniej nie znał; poczuje okropność skłonności do złego; poczuje ogromny dług, jaki zaciągnął u Boskiej sprawiedliwości; poczuje się słabszy w duchowej walce. Poczuje to, czego nie czuł wcześniej: wstyd, smutek, wyrzuty sumienia.

– I pomyśleć, że wcześniej powiedziano o nim: Pozwólcie dzieciom przyjść do Mnie. Będą jak aniołowie Boży w niebie. Synu, daj mi swoje serce.

– Ach, straszną zbrodnię popełniają ci nieszczęśnicy, gdy dziecko traci swoją niewinność. Jezus powiedział: Kto by zgorszył jedno z tych małych, którzy wierzą we Mnie, lepiej byłoby dla niego, gdyby mu zawieszono kamień

młyński u szyi i zanurzono go w głębi morza. Biada światu z powodu skandali. Skandalom nie można zapobiec, ale biada temu, kto je wywołuje. Strzeżcie się gardzić niektórymi z tych małych, bo powiadam wam, że ich aniołowie w niebie nieustannie widzą oblicze mojego Ojca, który jest w niebie, i domagają się zemsty.

– Nędzni oni! Ale nie mniej nieszczęśliwi są ci, którzy pozwalają się okradać z niewinności.

I tutaj obie przechadzały się; tematem ich dyskusji było to, jakie są środki zachowania niewinności.

Jedna powiedziała:

– To wielki błąd, który młodzi ludzie mają w głowach, że pokuta powinna być praktykowana tylko przez tych, którzy są grzesznikami. Pokuta jest również konieczna do zachowania niewinności. Gdyby św. Ludwik nie czynił pokuty, z pewnością popadłby w grzech śmiertelny. To powinno być głoszone, wpajane i nieustannie nauczane młodym. Ilu więcej zachowałoby niewinność, podczas gdy teraz jest ich tak niewiele!

– Tak mówi Apostoł: nosimy zawsze w naszych ciałach mękę Jezusa Chrystusa, aby i życie Jezusa objawiło się w naszych ciałach.

– A święty, niepokalany, niewinny Jezus spędził swoje życie w niedostatkach i smutkach.

– Tak samo Najświętsza Maryja Panna, tak samo wszyscy święci.

– Miało to być przykładem dla wszystkich młodych ludzi. Św. Paweł mówi: Jeśli według ciała żyć będziecie, pomrzecie; jeśli w duchu umartwicie wasze ciała, żyć będziecie.

– Tak więc bez pokuty nie można zachować niewinności!

– Jednak wielu chciałoby zachować niewinność i żyć w wolności.

– Głupcy! Czyż nie napisano: Został porwany, aby złośliwość nie zmieniła jego ducha i aby uwiedzenie nie doprowadziło jego duszy do błędu? Dlatego powaba próżności zaciemnia dobro, a zawrót głowy pożądliwości wywraca niewinną

duszę. Dlatego **niewinni mają dwóch wrogów: krzywe maksymy i niesprawiedliwe rozmowy niegodziwców oraz pożądlivość**. Czyż Pan nie mówi, że śmierć w młodym wieku jest nagrodą dla niewinnego, aby wyłączyć go z walki? „Ponieważ spodobał się Bogu, znalazł Jego miłość, i żyjąc wśród grzeszników, został przeniesiony. Zabrony został, by złość nie odmieniła jego myśli albo ułuda nie uwiodła duszy: bo urok marności przesłania dobro, a burza namiętności mąci prawy umysł”.

– Szczęśliwe są dzieci, które przyjmują krzyż pokuty i z mocnym postanowieniem mówią za Hiobem: *Donec deficiam, non recedam ab innocentia mea* (Dopóki żyję, nie ustąpię, że jestem niewinny, Hi 27, 5).

– Dlatego: umartwienie w przezwyciężaniu nudy, którą odczuwają w modlitwie.

– I jest napisane: *Psallam et intelligam in via immaculata. Quando venies ad me?* (Kroczyć będę drogą nieskałą: kiedyż do mnie przyjdiesz?, Ps 101, 2). *Petite et accipietis* (Proście, a otrzymacie, J 16, 24). *Pater Noster!* (Ojcze nasz!).

– Umartwienie intelektu przez uniżenie się, posłuszeństwo przełożonym i regułom.

– Jest też napisane: *Si mei non fuerint dominati, tunc immaculatus ero et emundabor a delicto maximo* (Także od pychy broń swojego sługę, niech nie panuje nade mną, wtedy będę bez skazy i wolny od wielkiego występku, Ps 19, 14). I to jest pycha. Bóg sprzeciwia się pysze i daje łaskę pokornym. Kto się uniża, będzie wywyższony, a kto się wywyższa, będzie poniżony. Bądź posłuszny swoim postanowieniom.

– Umartwienie w mówieniu zawsze prawdy, w ujawnianiu swoich błędów i niebezpieczeństw, w których można się znaleźć. Wtedy zawsze będzie mieć radę, zwłaszcza od spowiednika.

– *Pro anima tua ne confundaris dicere verum* (Mądrość bowiem poznaje się z mowy, Syr 4, 24). Jest bowiem rumieniec, który przyciąga grzech, i jest rumieniec, który przyciąga chwałę i łaskę.

– Umartwienie w sercu poprzez powstrzymywanie jego nieświadomych ruchów, kochanie wszystkich ze względu na Boga i zdecydowane oderwanie się od tych, których postrzegamy jako podważających naszą niewinność.

– Jezus powiedział: Jeśli ręka twoja albo noga twoja służy ci za zgorszenie, odetnij je i odrzuć od siebie; lepiej jest dla ciebie żyć z jedną nogą lub jedną ręką mniej, niż z obiema rękami i obiema nogami być wrzuconym w ogień wieczny. A jeśli twoje oko jest dla ciebie zgorszeniem, wyłup je i odrzuć od siebie; lepiej jest dla ciebie wejść do życia z jednym okiem, niż z dwójgiem oczu zostać wrzuconym do ognia piekielnego.

– Umartwienie w odważnym i szczerym znoszeniu szyderstw dla ludzkiego szacunku. *Exacuerunt, ut gladium, linguas suas: intenderunt arcum, rem amaram, ut sagittent in occultis immaculatum* (Oni ostrzą jak mieć swe języki, a gorzkie słowa kierują jak strzały, by ugodzić niewinnego z ukrycia, Ps 64, 4-5).

– I przezwyciężają to złośliwe szyderstwo, obawiając się odkrycia przez przełożonych, myśląc o strasznych słowach Jezusa: Ktokolwiek wstydy się mnie i moich słów, Syn Człowieczy będzie się go wstydził, gdy przyjdzie ze swoim majestatem i majestatem Ojca i świętych aniołów.

– Umartwienie w oczach, w patrzeniu, w czytaniu, unikanie wszelkiej złej lub niewłaściwej lektury.

– Istotny punkt. Zawarłam pakt z moimi oczami, aby nie myśleć nawet o dziewicy. A w Psalmach: Odwróć swe oczy, aby nie widziały próżności.

– Umartwiaj swój słuch i nie słuchaj złej, banalnej lub bezbożnej mowy.

– Czytamy w Księdze Eklezjastyka: *Saepi aures tuas spinis, linguam nequam non audire* (Otocz posiadłość swą płotem z cierni, bacz, abyś przez język się nie potknął, Syr 28, 24.26).

– Umartwienie w mowie: nie daj się pokonać ciekawości.

– Jest również napisane: Słowom twoim spraw wagę i ciężarki,
a ustom drzwi i zasuwę! Uważaj, abyś się w nimnie potknął, i
byś nie upadł przed tym, kto ci gotuje zasadzkę (Syr 28,
25-26).

– Umartwianie obżarstwa: nie jedz i nie pij za
dużo.

– Nadmierne jedzenie i picie sprowadziło na świat
powszechny potop, ogień na Sodomę i Gomore, a na naród
żydowski tysiąc kar.

– Umartwiajcie się, krótko mówiąc, znosząc to, co
spotyka nas w ciągu dnia, zimno, upał i nie szukając własnej
satysfakcji. Zadajcie śmierć temu, co przyziemne w waszych
członkach (Kol 3, 5).

– Pamiętajcie, co nakazał Jezus: *Si quis vult post
me venire, abneget semetipsum et tollat crucem suam quotidie
et sequatur me* (Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze
samego siebie, niech co dnia bierze krzyż swój i niech Mnie
naśladuje, Łk 9, 23).

– A sam Bóg swoją opatrnościową ręką obarcza
niewinnych krzyżami i cierniami, jak to uczynił z Hiobem,
Józefem, Tobiaszem i innymi świętymi. *Quia acceptus eras Deo,
necesse fuit, ut tentatio probaret te* (Zostałem posłany, aby
cię wypróbować, Tb 12, 13).

– Droga niewinnych ma swoje próby, swoje ofiary,
ale ma swoją siłę w Komunii, ponieważ ten, kto często
przyjmuje Komunię, ma życie wieczne, jest w Jezusie, a Jezus w
nim. Żyje tym samym życiem co Jezus, zostanie przez Niego
wskrzeszony w dniu ostatecznym. To jest pszenica wybranych,
wino, które sprawia, że dziewice kiełkują. *Parasti in
conspectu meo mensam adversus eos, qui tribulant me* (Stół dla
mnei zastawiasz na oczach mych wrogów, Ps 23, 5). *Cadent a
latere tuo mille et decem millia a dextris tuis, ad te autem
non appropinquabunt* (Choć tysiąc padnie u twego boku, a
dziesięć tysięcy po twojej prawicy, ciebie to nie spotka, Ps
91, 7).

– A najśłodsza Dziewicą umiłowaną przez Niego jest

Jego Matka. *Ego mater pulchrae dilectionis et timoris et agnitionis et sanctae spei. In me gratia omnis (to know) viae et veritatis; in me omnis spes vitae et virtutis.* (Jam matka pięknej miłości i bogobojności, i poznania, i nadziei świętej. We mnie wszelka łaska drogi i prawdy, we mnie wszystka nadzieja żywota i cnoty, Syr 24, 18). *Ego diligentes me diligo* (Ja kocham tych, co mnie kochają, Prz 8, 17). *Qui elucidant me, vitam aeternam habebunt* (Którzy ze mną działają, nie zgrzeszą, Syr 24,22). *Terribilis, ut castrorum acies ordinata* (Groźna jak zbrojne oddziały, Pnp 6, 4).

Następnie dwie dziewczynki odwróciły się i powoli wchodziły po dywanie. Jedna z nich wykrzyknęła:

– Zdrowie sprawiedliwych pochodzi od Pana: i On jest ich obrońcą w czasie utrapienia. Pan im pomoże i wybawi ich; wyrwie ich z ręki grzeszników i wybawi ich, bo w Nim pokładali nadzieję (Ps 36,39-40).

– A druga kontynuowała:

– Bóg przepasał mnie siłą, a drogę, którą krocę, uczynił nieskazitelną.

Kiedy dwie panny dotarły na środek tego wspaniałego dywanu, odwróciły się.

– Tak, zawołała jedna, niewinność ukoronowana pokutą jest królową wszystkich cnót.

Druga także wykrzyknęła:

– Jak chwalebne i piękne jest czyste pokolenie! Pamięć o niej jest nieśmiertelna i znana przed Bogiem i przed ludźmi. Ludzie naśladują ją, gdy jest obecna, i tęsknią za nią, gdy odeszła do nieba i ukoronowana triumfalnie w wieczności, zdobywając nagrodę za czystą walkę. Co za triumf! Co za radość! I co za chwała w przedstawieniu Bogu niepokalanej stuły świętego chrztu po tylu bitwach wśród oklasków, śpiewu, blasku niebiańskich armii!

Kiedy tak rozmawiały o nagrodzie przygotowanej za niewinność zachowaną w ramach pokuty, Ksiądz Bosko zobaczył, jak pojawiały się grupy aniołów, które schodząc, wylądowały na tym białym dywanie. Dołączyły one do □□tych dwóch dziewcząt, zajmując środkowe miejsce. Było ich mnóstwo. I śpiewali:

Benedictus Deus et Pater Domini Nostri Jesu Christi, qui benedixit nos in omni benedictione duchowe in coelestibus in Christo; qui elegit nos in ipso ante mundi Constitutionem, ut essemus sancti et immaculati in conspectu eius in charitate et praedestinauit nos in adadopedem per Jesum Christum (Niech będzie błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, On napełnił nas wszelkim błogosławieństwem duchowym na wyżynach niebieskich – w Chrystusie. W Nim bowiem wybrał nas przed założeniem świata, abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem. Z miłości przeznaczył nas dla siebie jako przybranych synów przez Jezusa Chrystusa, Ef 1,3-5). Następnie dziewczęta zaczęły śpiewać wspaniały hymn, ale z takimi słowami i nutami, że tylko aniołowie znajdujący się najbliżej środka mogli śpiewać. Pozostali także śpiewali, ale Ksiądz Bosko nie słyszał ich głosów, chociaż wykonywali gesty i poruszali ustami w postawie śpiewu.

Dziewczynki zaśpiewały: *Me propter newiniam suscepisti et confirmasti me in conspectu tuo in aeternum. Benedictus Dominus Deus a saeculo et usque in saeculum; fiata fiata!* (Ty mnie podtrzymasz dzięki mej prawości i umieścisz na wieki przed Twoim obliczem. Błogosławiony Pan, Bóg Izraela, od wieku aż po wiek!, Ps 41,13-14).

W międzyczasie do pierwszych szeregów anielskich dołączyli kolejni, a potem ciągle inni. Ich stroje różniły się kolorami i ozdobami, różniły się od siebie, a zwłaszcza od ubioru obu dziewcząt. Ale bogactwo i wspaniałość były boskie. Piękno każdego z nich polegało na tym, że ludzki umysł w żaden sposób nie jest w stanie wyobrazić sobie ich cienia, niezależnie od tego, jak bardzo byłby odległy. Całego spektaklu tej sceny nie da się opisać, ale dodając słowo po słowie, pojęcie to można w jakiś zagmatwany sposób wyjaśnić.

Gdy pieśń obu dziewcząt dobiegła końca, wszystkie usłyszały, jak wspólnie śpiewają ogromną i harmonijną pieśń, jakiej nie słyszano i nigdy nie będzie słychać na ziemi. Śpiewali:

Ei, qui potens est vos preserva sin et constituere ante conspectum Glorae suae immaculatos in exultatione, in adventu

Domini nostri Jesu Christi: Soli Deo Salvatori nostra, per Jesum Christum Dominum nostrum, Gloria et wspaniałość, imperium et protestas ante omne saeculum, et nunc et in omnia saecula saeculorum. Amen (Temu zaś, który może was ustrzec od upadku i stawić nienagannymi i rozradowanymi wobec swej chwały, jedynemu Bogu, Zbawcy naszemu przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego, chwała, majestat, moc i władza przed wszystkimi wiekami i teraz, i na wszystkie wieki! Amen, Jud 1, 24-25).

Kiedy śpiewali, ciągle przybywali nowi aniołowie, a kiedy pieśń się skończyła, stopniowo wszyscy powstawali razem i znikali wraz z całą wizją. – I Ksiądz Bosko się obudził.

[Polska wersja *Pamiętników Biograficznych* nie przytacza długiej rozmowy dwóch dziewcząt ze snu Księdza Bosko. Po krótkim opisie snu następuje komentarz – przyp. tłum.]

W następnych dniach [Ksiądz Bosko] rzucił kilka myśli księdzu Lemoyne z tego widzenia, wyrażał się bardzo ogólnikowo o tym, co usłyszał na temat pochwał czystości, o środkach do jej zachowania, o nagrodzie zapewnionej dla tych, co ją posiadają, w tym i przyszłym życiu, po czym pozwolił mu na ujęcie szerzej tych myśli. I tak spod pióra sekretarza wyszedł sen dość długi. Nigdy jednak nie miał sposobności odczytania go Świętemu.

(*MB XVII, 722-730, MB PL XVII, 122-123*)

Sen o 22 księżycach (1854)

W marcu 1854 w niedzielę po nieszporach, Ksiądz Bosko zebrał internistów w tylnej zakrystii kościoła mówiąc, że chce im opowiedzieć jeden ze swoich snów. Obecni byli między nimi: Cagliero, Turchi, Anfossi, kleryk Reviglio, kleryk Buzzetti,

od których pochodzi niniejsze opowiadanie, wszyscy byli przekonani, że pod nazwą „snu” Ksiądz Bosko ukrywał objawienie otrzymane od Boga. Sen był następujący:

„Stałem na dziedzińcu przypatrując się z zadowoleniem wesołym zabawom. Naraz zauważyłem, że jeden z was wychodzi z domu na podwórze i zaczyna przechadzać się między kolegami. Na głowie miał jakiś cylinder czy turban wewnątrz oświetlony, na którym błyszczał księżyc w pełni z liczbą 22 w samym środku. Zdziwiony, już chciałem podejść do niego i kazać mu zrzucić tę maskaradę karnawałową, gdy wtem zaczęło się ściemniać. Chłopcy jakby na głos dzwonka opróżnili dziedziniec i ustawili się pod krużgankiem w szeregu. Miny ich były dziwnie przerażone, a coś 10 czy 12 było przerażająco bladych. Podszedłem do nich i spostrzegłem, że ów z księżycem na głowie bledszy jest od innych. Z ramion jego opadał żałobny całun. Już skierowałem ku niemu swe kroki, by zapytać go, co mu się stało ale jakaś ręka mnie zatrzymała. Obejrzałem się i zauważyłem nieznanego mi człowieka o wyglądzie poważnym i szlachetnych gestach. Ten odezwał się do mnie:

– Posłuchaj mnie wpierw, zanim się do niego zbliżysz. Temu chłopcu pozostają tylko 22 miesiące życia. Miej go na oku i przygotuj do śmierci.

Chciałem jeszcze pytać, ale nieznajomy znikł. Znam dobrze. kończył Ksiądz Bosko. tego chłopca z księżycem ... jest on tu między wami ale nie chciałbym, żebyście się mieli z tego powodu niepokoić. Przecież to był tylko sen a wiecie, że w sny nie należy wierzyć. W każdym razie, pomijając powyższy sen, to jest pewne, że zawsze należy być na śmierć gotowym, jak to zaleca sam Boski Zbawiciel w Ewangelii i zawsze powinniśmy wystrzegać się grzechu a wtedy i śmierci nie będziemy się lękać. Ja tego, co ma jeszcze 22 miesiące czasu, otoczę szczególną opieką i ufajmy, że umrze śmiercią sprawiedliwego. Ta zapowiedź, o ile początkowo przerażała chłopców, później sprawiła wiele dobra, gdyż wszyscy starali się utrzymać w łasce Bożej z myślą o śmierci a przy tym liczyli ubiegające księżyce.

Ksiądz Bosko od czasu do czasu pytał:

– No ile księżyców jeszcze zostało? Dziesięć, osiemnaście, piętnaście – odpowiadano Niektórzy pilnie zapamiętali jego słowa i starali się przy sposobności coś więcej się dowiedzieć, lecz Święty zachowywał milczenie. Chłopiec Piano, który przyjechał do zakładu w miesiącu listopadzie 1854, słyszał jak mówiono o dziewiątym miesiącu oraz o przepowiedni Księdza Bosko. Także i on podobnie jak inni oczekiwał uważnie, co nastąpi.

Tak przeszedł rok 1854, kilka miesięcy następnego 1855 i nadszedł październik to jest miesiąc dwudziesty. Cagliero, wówczas kleryk, otrzymał polecenie czuwania w trzech sypialniach znajdujących się w dawnym domu Pinardiego. Był tam między innymi chłopiec Gurgo Secondo, rodem z Biella Pettinano lat 17, dobrze zbudowany, doprawdy uosobienie zdrowia i czerstwości. Ojciec przysłał go do Oratorium jako pensjonariusza. Zdolny muzyk, grał na pianinie i organach, od rana do wieczora ćwiczył na instrumentach i dosyć zarabiał udzielając lekcji w mieście. Ksiądz Bosko w ciągu roku od czasu do czasu zasięgał u Cagliero informacji co do uczniów, których asystował w sypialni.

W październiku zawołał go i dał polecenie: Słuchaj, przenieś swe łóżko do środkowego pokoju. Jak Ksiądz życzy sobie, mogę tylko zauważyć, że poprzednie dwa pokoje są suche, podczas gdy ten trzeci przylegający do wieży kościelnej jest wilgotny, zbliża się zima i mógłbym nabawić się kataru. Ze swojej sypialni widzę doskonale tam śpiących. Nie szkodzi, będziesz mógł i tak ich asystować, lepiej jednak będzie, że przeniesiesz się do tej środkowej. Kleryk usłuchał, lecz po jakimś czasie prosił o pozwolenie wrócić na dawne miejsce. Ksiądz Bosko nie zezwolił, lecz powiedział: Zostań tam, gdzie jesteś i bądź pewny, że twoje zdrowie na tym nie ucierpi. Kleryk Cagliero uspokoił się lecz po paru dniach znowu wezwał go Ksiądz Bosko:

– Ilu was jest obecnie w sypialni?

– Trzech: ja, Gurgo Secondo i Garovaglia, do tego pianino jest

czwarte.

– Dobrze – odpowiedział Święty: Jest was trzech muzyków zaś Gurgo mógłby wam dawać lekcje na fortepianie. Bacz, byś go dobrze asystował. I nic więcej nie dodał.

Kleryk nieco zaintrygowany stawiał różne pytania, lecz Święty zakończył:

– Dlaczego, dowiesz się w swoim czasie.

Sekret polegał na tym, że właśnie w tej sypialni znajdował się ów chłopiec z liczbą 22 w symbolu księżyca.

Z początkiem grudnia nie było nikogo chorego w Oratorium. Ksiądz Bosko na słówku wieczornym zapowiedział, że przed Bożym Narodzeniem jeden chłopiec umrze. Ta nowa przepowiednia, wypełnienia się 22 księżyców wywołała wielkie podniecenie w zakładzie. Ksiądz Bosko jeszcze raz wezwał kleryka Calgiero pytając, czy Gurgo sprawował się wzorowo i czy z lekcji na mieście wracał punktualnie do zakładu. Otrzymał odpowiedź, że wszystko jest w porządku i że nic nowego u jego kolegów.

– Doskonale, jestem zadowolony, ale czuwaj, by wszyscy pozostali dobrymi i daj mi znać, jeśli zdarzy się coś nieodpowiedniego.

Lecz oto w połowie grudnia Gurgo dostał gwałtownej kolki tak, że wezwano lekarza, który poradził, by udzielono mu sakramentów świętych. Przez osiem dni bolesna choroba zdawała się przesilać dzięki troskliwej opiece doktora Deberardiego tak, że Gurgo mógł przejść na rekonwalescencję. Wprawdzie nikt dotąd nie chorował ani nie umarł w Oratorium, Ksiądz Bosko wolał jednak wezwać ojca. Już zaczęto nowennę do Bożego Narodzenia a Gurgo liczył na to, że spędzi święta w domu. Gdy podawano pomyślne wiadomości Księdzu Bosko, on jakby nie dowierzał. Ojciec przyjechał po syna, by zabrać go powozem do Novary, później do Pettineno, by całkowicie wyzdrowiał. Tegoż wieczoru Gurgo miał wielki apetyt na mięso, pomimo, że lekarz zakazał. Zgotowano mu rosół. Chłopiec wypił rosół i zjadł dość dużą porcję mięsa niedogotowanego.

Gdy ojciec wyszedł z pokoju, chory począł się skarżyć na silne

bóle żołądka. Torsje powróciły jeszcze silniejsze niż przedtem. Gurgo zawołał do asystenta:

– Cagliero! Cagliero! Skończyły się moje lekcje na fortepianie.

– Ależ bądź cierpliwy i dobrej myśli! – Uspokajał kleryk.

– Ach, ja już nie wrócę do domu, gdyż już nie mogę... módl się za mnie. Doprawdy czuję się bardzo źle... Poleć mnie Madonnie. .

– Dobrze pomodlę się, prosz i ty Matkę Najświętszą!

Cagliero więc zaczyna się modlić lecz zmorzony snem zasypia. Infirmarz go budzi i wskazując na Gurgo biegnie po księdza Alasaonattiego będącego w sąsiednim pokoju. On przyszedł, a niebawem Gurgo oddał ducha. Jakaż konsternacja w całym domu! Cagliero z rana spotyka Księdza Bosko idącego odprawić Mszę św. zasmuconego, gdyż był poinformowany o zgonie. W domu mówiono tylko o tej śmierci. Upływał właśnie 22 miesiąc, lecz jeszcze nie wypełnił się. Gurgo umierając w dnia 24 grudnia przed świtem spełnił i drugą zapowiedź, to jest, że nie doczeka Bożego Narodzenia.

Po obiedzie chłopcy i klerycy w milczeniu otaczali Księdza Bosko. W pewnym momencie kleryk Turchi Jan spytał go, czy to Gurgo był owym spod 22 księżyca.

– Tak, odpowiedział Ksiądz Bosko – to on. Tak jak widziałem go we śnie.

Dodał jeszcze:

– Widzieliście, że kazałem mu się przenieść do specjalnego pokoju, polecając najlepszemu asystentowi czuwać przy nim. Był nim kleryk Jan Cagliero.

I nagle zwracając się do owego kleryka rzecze:

– Już nie musisz tak pilnie uważać, jak ci powiedziałem poprzednio. Obecnie rozumiesz, dlaczego nie chciałem, byś zmienił sypialnię, w której znajdował się ów biedak? /.../ Gdyby teraz żył, mógłby powiedzieć jak często mu mówiłem o śmierci, ile trosk poświęciłem, by go do tego przygotować. „Zrozumiałem wówczas, pisze monsignor Calgiero, powód szczególnych poleceń Księdza Bosko, nauczyłem się cenić jego słowa i ojcowskie

przestrogi”.

„Wieczorem w wigilię Bożego Narodzenia – opowiada Piotr Enria – pamiętam jak Ksiądz Bosko wszedł na podium, powiódł dookoła oczyma, jakby kogoś szukał i powiedział: Pierwszy chłopiec, który zmarł w Oratorium, był dobrze przygotowany i spodziewamy się, że jest w niebie. Polecam wam, byście byli zawsze gotowi. Tu przerwał nie mogąc więcej mówić ze wzruszenia. Śmierć zabrała mu ukochanego syna ...”.

(MB IT V, 377-383/MB PL V, 189-192)

Spacer chłopców do raju (1861)

Obecnie przytoczymy ciekawy sen księdza Bosko w kolejnych nocach 3.4.5. kwietnia 1861. Wiele znamienitych szczegółów pozwala czytelnikowi uznać wpływ boży na wiernego sługę. Przytoczymy go zgodnie z relacją księdza Bonettiego i ks. Ruffino.

Ks. Bosko wieczorem, 7 kwietnia, ustąpiwszy na podium tak przemówił

– Chcę wam opowiedzieć ciekawy sen, jak każdy sen nie jest to rzeczywistość. Dlatego nie będziemy przykładać doń większej wiary niż na to zasługuje. Pierwej jednak muszę zrobić pewne zastrzeżenie. Mówię do was szczerze, podobnie jak pragnę, byście się wy do mnie wzajemnie odnosili. Nie mam do was sekretu. To jednak, co wam powiem, pragnę, by pozostało między wami. Nie popełni grzechu, kto by opowiadał to osobom spoza zakładu; lepiej jednak, by to nie wyszło poza próg naszego domu.

Natomiast możecie rozmawiać na ten temat między sobą, śmiać

się, żartować, jak wam żywnie się podoba. Z osobami obcymi tylko takimi, którzy z tego mogą odnieść jakąś korzyść wedle waszego uznania. Sen dzieli się na trzy części, gdyż śniłem go w trzech kolejnych nocach.

Dziś opowiem pierwszą część, drugą i trzecią w następnych słówkach. Zastanawiające było dla mnie, że za każdym razem sen nawiązywał do punktu z poprzedniej nocy, kiedy się budziłem.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Zdawało mi się, że wraz z moimi chłopcami jestem na jakiejś równinie, na krańcach, której wznosiło się wysokie wzgórze. Gdy tak wszyscy staliśmy bez ruchu, niespodzianie zwróciłem się do chłopców z propozycją:

– Czy nie moglibyśmy sobie urządzić przyjemnej wycieczki?

– Doskonale.

– Lecz dokąd?

Spojrzeliliśmy po sobie porozumiewawczo, gdy wtem jeden, nie wiadomo, z jakiej przyczyny wyrwał się ze słowami:

– Może byśmy się tak wybrali do nieba?

– Tak. Tak. Chodźmy do nieba – krzyknęli inni.

– Wyśmienicie, wspaniale, idziemy do nieba – odkrzyknęli drudzy.

– Doskonale. Hurra. Idziemy – wołali wszyscy zgodnym chórem.

Puściliśmy się w drogę po równinie i po jakimś czasie stanęliśmy u stóp wzgórza. Rozpoczęła się wspinaczka. Przed sobą mieliśmy cudowny wieczór. Jak okiem sięgnąć, całe zbocze było pokryte wszelkiego gatunku roślinami niskimi i delikatnymi, wysokimi i silnymi. Grubość tych ostatnich nie przekraczała jednak grubości ręki. Były tam: grusze, jabłonie, czereśnie, śliwy, winorośle itp. Najdziwniejsze, że na jednym i tym samym drzewie widać było pączki, kwiaty w pełnym rozwoju i cudownych kolorów: małe zieleniejące owoce, oraz owoce duże dojrzałe; każda roślina skupiła w sobie piękność wiosny, lata i jesieni. Owoców było tyle, że drzewa nie mogły ich udźwignąć.

Chłopcy przychodzili do mnie i pytali ciekawi o wyjaśnienie tego dziwnego zjawiska, którego nie umieli sobie wytłumaczyć. Pamiętam, iż dla zaspokojenia ich ciekawości, dałem następujące wyjaśnienia:

– Otóż w niebie nie jest tak, jak na naszej ziemi, gdzie zmieniają się temperatury i pory roku. Tam nie ma zmian; temperatura jest zawsze jednostajna, łagodna, stosowana do rozwoju każdej rośliny. Stąd skupia w sobie jednocześnie piękno wszystkich pór roku.

Z zachwytem syciliśmy oczy tym widokiem. Miły, słodki zapach rozchodził się dokoła. Aura była spokojna, łagodna przesycona słodyczą zapachów, które przenikały nas wszystkich i wymowie świadczyły o wyborowych gatunkach owoców. To też wszyscy raczyli się jabłkami, gruszkami, czereśniami, winogronami, każdy do swego gustu. I tak z wolna wstępowaliśmy na wzgórek. Po dojściu do jego wierzchołka myśleliśmy, że jesteśmy już w niebie, tymczasem byliśmy od niego jeszcze bardzo daleko. Po przeciwległej stronie wielkiej równiny, pośrodku szerokiego płaskowzgórza widniała bardzo wysoka góra, sięgająca aż po chmury. Pod górę, wspinając się z wielkim wysiłkiem, lecz jednocześnie z wielką wesołością, wstępowało mnóstwo ludzi. Na szczycie stała Osobistość zachęcająca wstępujących i dodająca im odwagi.

Widzieliśmy również innych, którzy zstępowali ze szczytu na dół i pomagali bardziej zmęczonym przy wspinaniu się po zbyt stromej pochyłości.

Tych, którzy docierali do celu, przyjmowano z wielką uroczystością i radością. Domyśliliśmy się od razu, że tam było niebo. Skierowaliśmy, więc swe kroki w stronę płaszczyzny ku podróżnikom góry, aby ją zdobyć. Wielu chłopców chcąc szybciej cel osiągnąć puściło się pędem naprzód i mocno wyprzedzili resztę towarzystwa.

Lecz co się stało?. Na wyżynie, dostępu do góry broniło duże

jezioro pełne krwi. Na jego brzegach leżało dużo poobcinanych rąk, stóp, ramion, nóg, rozplątanych głów, poćwiartowanych ciał. Wyglądało, jakby w tym miejscu stoczono krwawą bitwę. Straszny to był widok.

Biegący naprzód chłopcy zatrzymywali się pełni grozy. Byłem jeszcze daleko i niczego się nie domyślałem. Widząc jednak, że dawali znak przerażenia i nie posuwali się naprzód, zawołałem:

– Co ma znaczyć ten wasz przestach?. Co się stało. Idźcie dalej!.

– Tak? ... Idźcie. Niech ksiądz przyjdzie zobaczyć – odpowiadali.

Przyśpieszyłem kroku i zobaczyłem. Wszyscy idący ze mną chłopcy przed chwilą tak weseli, zamilkli struchlali. Jezioro było nie do przebycia. Na przeciwległym brzegu widniał wielkimi literami napis:

„*PER SANGUINEM* – przez krew”

– Co to jest? Co ma znaczyć to widowisko?

Pytali się chłopcy wzajemnie. Zwróciłem się z pytaniem do jakiegoś Nieznajomego – nie pamiętam już, kto to był – a ten mi odpowiedział:

Oto tutaj krew przelana przez tych, a jest ich bardzo wielu, co dotarli już do szczytu i weszli do nieba.

– Jest to krew Męczenników. Jest tu również Krew Jezusa Chrystusa, którą zostały obmyte ciała zabitych na świadectwo wiary. Nikt nie może wejść do nieba, zanim wpierw nie przejdzie przez tę krew i nie zostanie nią zroszony. Ta krew broni Świętej Góry będącej obrazem Kościoła katolickiego. Ktokolwiek chciałby zaatakować tę Górę, zginie w straszliwy sposób. Właśnie owe ręce i nogi odcięte, owe rozplątane czaszki, członki pokrajane i rozrzucone po brzegach – to nieszczęsne szczątki nieprzyjaciół, którzy chcieli obalić Kościół. Wszyscy zostali roztrzaskani na kawałki i wszyscy zginęli w tym jeziorze.

Nieznajomy przemawiając do mnie wymienił wielu Męczenników, między nimi również żołnierzy poległych na placu boju w obronie doczesnej władzy Papieża. Wskazując na prawo, w głębi, na wschodzie, niezmierzoną dolinę, co najmniej cztery lub pięć razy większą od jeziora dodał:

– Widzicie tę dolinę? Tam zostanie zebrana krew tych, którzy tędy będą musieli wstępować pod górę: krew sprawiedliwych, co umrą za wiarę w przyszłości.

Dodawałem odwagi przerażonym chłopcom mówiąc, że jeśli umrzemy jako męczennicy, krew nasza będzie złożona w owej dolinie, ale za to nasze członki nie zostaną porozrzucane razem z tymi, co tu oglądamy.

Ruszyliśmy pośpiesznie w dalszą podróż posuwając się wzdłuż brzegu, mając po lewej stronie wzgórze, od którego przybyliśmy, po prawej zaś jezioro i górę. Na końcu jeziora rozciągał się teren porośnięty różnymi drzewami. Zapusciliśmy się między nie, by zobaczyć, czy od tej strony nie będzie można przybliżyć się do stóp góry. Lecz wnet ukazała się druga przeszkoda, drugie wielkie jezioro pełne wody, a w niej także pływające obcięte i pokrajane członki. Na brzegu widniał ogromnymi literami napis: „*PER AQUAM* – przez wodę”.

Zaczęliśmy ponownie pytać: Co to jest? Kto nam wyjaśni to nowe tajemnicze zjawisko?

– W tym jeziorze. Odrzekł nieznajomy – znajduje się woda z boku Jezusa Chrystusa, która jakkolwiek wypłynęła w małej ilości, wzrosła do tych rozmiarów, wzrasta i będzie ustawicznie wzrastać coraz więcej. Jest to woda Chrztu świętego, w której obmyli się i oczyścili ci, co już dotarli do szczytu, i w której muszą być obmyci, co w przyszłości mają wstępować na górę. Do nieba idzie się albo drogą niewinności, albo drogą pokuty. Nikt nie może być zbawiony, nie wykąpowszy się pierwszej w tej wodzie. Następnie nawiązując do rzezi nad jeziorem ciągnął:

– Te martwe członki należą do obecnych prześladowców Kościoła.

Równocześnie ujrzelśmy tłum ludzi, między nimi niektórych naszych chłopców, którzy kroczyli po wodzie z niezwykłą szybkością i tak lekko, że ledwie końcami stóp dotykali jej powierzchni i suchą nogą przeprawiali się na drugi brzeg.

Na ten dziw zdumieliliśmy się, lecz wnet dano nam wyjaśnienie:

– Są to sprawiedliwi. Ponieważ dusze Świętych, zaledwie się wyzwoli z więzienia ciała, jak również samo ciało uwielbione, nie tylko lekko i żwawo stąpa po wodzie, ale wprost unosi się w przestworzach.

Wszyscy chłopcy mieli wielką ochotę biec po tafli jeziora za przykładem tych, którzy po nim chodzili. Rzucali, więc na mnie pytające spojrzenia, lecz nikt nie ośmielił się pójść pierwszy. Ja zaś odrzekłem:

– Co do mnie, nie mam odwagi. Byłoby zarozumiałością uważać się za tak sprawiedliwego, by móc bez zatonięcia przejść po powierzchni tych wód.

Wówczas wszyscy krzyknęli:, Jeżeli ksiądz nie ma odwagi, to tym mniej my!

Ruszyliśmy, więc naprzód brzegiem, stale okrążając górę i dotarliśmy do trzeciego jeziora, rozległego jak pierwsze, pełnego ognia. Wewnątrz zaś również leżały roztrzaskane i pocięte członki ludzkie.

Na przeciwnym brzegu widać było wypisane słowa: „*PER IGNEM* – przez ogień”.

Gdy tak staliśmy przypatrując się płomienistej powierzchni, nasz Nieznajomy objaśnił:

– Jest to ogień miłości bożej i świętych. Przez płomienie miłości i pragnienie muszą przejść ci, co nie przeszli przez krew i wodę. Jest to również ogień, którym prześladowcy męczyli i strawili tylu męczenników. Wielu musiało przejść

przez tę drogę, by dostać się na górę. Płomienie te posłużą do strawienia ich nieprzyjaciół. Po raz trzeci widzieliśmy nieprzyjaciół Boga, startych na placu własnej klęski.

Ruszyliśmy bezpiecznie naprzód. Po trzecim jeziorze spotkaliśmy czwarte, podobne do olbrzymiego amfiteatru, przedstawiające jeszcze straszliwszy widok. Było tam pełno dzikich zwierząt, wilków, niedźwiedzi, tygrysów, lwów, panter, węży, psów, kotów i wielu innych potworów z rozwartymi paszczami i gotowych pożreć każdego, kto by się przybliżył. Widzieliśmy ludzi stąpających po ich łbach. Pewna część chłopców poszła za ich przykładem i bez obawy kroczyła po strasznych potworach, nie doznając najmniejszego uszczerbku.

Chciałem ich przywołać krzycząc z całej siły:

– Na miłość boską. Wstrzymajcie się. Nie idźcie dalej. Nie widzicie, że zwierzęta czyhają tylko, by was rozszarpać i pożreć?

Nie słyszeli jednak mojego głosu i nadal przechadzali się po łbach i kłach tych zwierząt, jakby po najbezpieczniejszym podłożu.

Wówczas nasz Nieznajomy począł objaśniać: – Zwierzęta to są szatani, niebezpieczeństwa i zasadzki świata; co chodzą po nich bezkarnie, to dusze sprawiedliwe, niewinne.

– Czy nie wiesz, co napisano?: „*Super espidem et basiliscum ambulabunt et conculcabunt leonem et draconem* – po wężu i bazyliisku stąpać będą i podepcą lwa i smoka”. Ich to miał na myśli prorok Dawid. W Ewangelii zaś czytamy: Oto dałem wam władzę deptania po wężach i niedźwiedziach i po wszelkiej mocy nieprzyjacielskiej, i nic wam szkodzić nie będzie”.

Zapytaliśmy, więc, jakim sposobem przedostaniemy się na drugą stronę, i czy musimy przejść po tych łbach straszliwych?

– Tak. Tak- odpowiedział ktoś. Niech ksiądz idzie. Chodźmy.

– O, ja nie mam ochoty – odrzekłem. Zuchwalstwem byłoby uważać się za tak sprawiedliwego, by móc stąpać po łbach dzikich

potworów. Idźcie, jeśli chcecie. Ja nie mam chęci.

Na to chłopcy: Jeszcze, co? Jeżeli ksiądz się nie czuje, to cóż dopiero my? Oddalwszy się od jeziora dzikich zwierząt, zobaczyliśmy rozległą przestrzeń zapełnioną mnóstwem ludzi. Wszyscy oni byli, czy wydawali się być: bez nosa, bez uszu, to z odciętą głową; temu brakowało ramienia, tamtemu nogi, ten był bez rąk, ów bez stóp; jednemu brakowało języka, innemu oczu.

Chłopcy ze zdziwieniem przypatrywali się temu tłumowi kalek. Nieznajomy zaś objaśniał:

– Są to przyjaciele boży, którzy dla zbawienia swego umartwiali zmysły: oczy, uszy, język, pełniąc wiele dobrych uczynków. Utracili swe członki wskutek ostrych pokut lub pracy dla miłości Boga i bliźniego. Ci, co mają głowę odciętą, poświęcili się w sposób szczególniejszy Panu Bogu.

Gdy tak staliśmy podziwiając owo widowisko, zobaczyliśmy ludzi, z których znaczna część przebywszy jezioro, już wspinała się do góry. Na szczycie pojawili się inni, którzy podawali ręce wstępującym, dodając odwagi, potem zaś klaskali w dłonie i wykrzykiwali: Świetnie. Doskonale! Pod wpływem oklasków i okrzyków, zbudziłem się i spostrzegłem, że jestem w łóżku. Oto pierwsza część snu, czyli noc pierwsza.

DRUGA CZĘŚĆ

Wieczorem 8 kwietnia, stanął ksiądz Bokso przed chłopcami, żadnymi dalszego opowiadania. Uśmiechnął się, rzucił wzrokiem dookoła i po krótkiej przerwie tak ciągnął:

– Zapamiętajcie sobie, że w głębi doliny, w pobliżu pierwszego jeziora znajdowało się inne jezioro, które należało jeszcze wypełnić krwią. Otóż po tych strasznych scenach poprzednio opisanych, po okrążeniu szerokiego płaskowyżu, znaleźliśmy wreszcie wolne przejście i skierowaliśmy się wzdłuż doliny, kończącej się rozległym placem. Był szeroki i przestronny u wejścia, lecz ścieśniał się w wąską ścieżkę między dwiema

skałami, przez które zaledwie jeden człowiek mógł się precyzyjnie przemieszczać. Plac był pełen ludzi zadowolonych i wesołych. Wszyscy zmierzali w stronę ciasnego przesmyku prowadzącego pod górę. Pytaliśmy się jeden drugiego: Czyżby tędy była droga do nieba? Równocześnie ci, co się znajdowali na tym polu, jeden po drugim wchodził na ścieżkę, i by się posuwać naprzód, musieli dobrze upinać szaty i członki, kurczyć się, wyzbywać tobołków i wszelkich innych przedmiotów.

To wystarczyło, by mnie upewnić, że mamy przed sobą ścieżkę do nieba. Przyszło mi na myśl, że aby iść do nieba, należy się wyzbyć nie tylko grzechu, ale porzucić wszelką myśl, wszelkie przywiązanie światowe, według słów Apostoła: „Nic skażonego tam nie wnijdzie”. Staliśmy czas jakiś przypatrując się tym tłumom.

I tu popełniłem jeden wielki błąd. Zamiast próbować przejść przez przesmyk, zachciało mi się zawrócić, by zobaczyć, co się dzieje poza placem. Ujrzelismy mnóstwo ludzi, między nimi wielu naszych chłopców, zaprzęgniętych do pary z różnego rodzaju zwierzętami. Jedni byli w uprzęży z wołami. Rozwahałem: co to ma znaczyć, i wówczas przyszło mi na myśl, że wół jest symbolem lenistwa i domyśliłem się, że byli to chłopcy leniwi. Znałem ich, widziałem ich zupełnie takimi, jakimi byli: ociężałych, niedbałych w wypełnianiu obowiązków, i powtarzałem sobie: tak, dobrze, dobrze ci tak. Nie chcesz nigdy nic robić, dlatego w sam raz do twarzy ci z tym bydlęciem. Widziałem innych zaprzęgniętych z osłami. Byli to uparci, którzy tak skojarzeni dźwigali ciężary i paśli się razem z osłami. Byli to ci, co nie chcieli słuchać rad, ani rozkazów przełożonych. Zobaczyłem też innych związanych z mułami czy końmi. Przyszło mi na myśl, co mówi Pan: „Stał się jako koń i muł, którym brak rozumu”. Byli to ci, którzy nigdy nie chcą myśleć o sprawach duszy: nieszczęśliwi bezrozumni.

Widziałem też innych pasących się z wieprzami: żerowali w nieczystościach i w ziemi na wzór brudnych zwierząt i za ich przykładem tarzali się w błocie. To ci, co karmią się jedynie

rzeczami ziemskimi, żyją w brzydkich nałogach, przebywają z dala od Ojca Niebieskiego. Co za smutny widok. Również tutaj przyszły mi na myśl słowa Ewangelii o synu marnotrawnym, który doszedł do tak nędznego stanu „żyjąc rozpustnie”. Wreszcie zobaczyłem bardzo dużo ludzi i chłopców z kotami, psami, kogutami, królikami itp. to znaczy złodziejów, gorszycieli, samochwalców, tchórzących przed ludzkim względem i tak dalej. Z tych przeróżnych obrazów poznaliśmy, że doliną jest świat. Przypatrzyłem się dobrze każdemu z owych chłopców.

Postąpiliśmy jeszcze nieco naprzód w inną, również bardzo rozległą część tej niezmiernej równiny. Teren nachylał się tak nieznacznie, że niepostrzeżenie schodziło się coraz niżej. W pewnej odległości dostrzegliśmy, jakby przybierał wygląd ogrodu. Mówimy, więc między sobą:

– Chodźmy zobaczyć, co to jest.

– Chodźmy!

Natrafiliśmy na śliczne purpurowe róże.

– Co za piękne róże. Jakie śliczne róże – wołali chłopcy i pobiegli je zerwać.

Lecz co się stało, ledwie je tam zerwali, spostrzegli, że wydają wstrętny odór. Tak pociągające i czerwone z zewnątrz, wewnątrz były zgniłe. Chłopcy byli rozzarowani.

Widzieliśmy również świeżutkie z pozoru fiołki i wydawało się, że powinny rozkosznie pachnąć, lecz zaledwie zerwaliśmy kilka, by złożyć bukiet, zauważyliśmy, że były również zepsute od spodu i cuchnące. Postępowaliśmy stale naprzód i znaleźliśmy się wreszcie pośród drzew obciążonych takim mnóstwem owoców, iż przyjemnie było spojrzeć. Szczególnie sady jabłoniowe wyglądały bardzo ponętnie. Jeden z chłopców podskoczył i zerwał z gałęzi wielką gruszkę, od której nie było chyba piękniejszej i bardziej dojrzałej; ale zaledwie zapuścił w nią zęby, odrzucił ją daleko ze wstrętem. Była pełna ziemi i pisaku, o smaku pobudzającym do wymiotów.

– Co to ma znaczyć? Pytamy.

Jeden z naszych chłopców, którego nazwisko doskonale pamiętam,

odpowiedział:

– Więc to ma być piękno i dobro, jakie nam świat ofiaruje? Wszystko tylko pozór i niesmak.

Zaczęliśmy się zastanawiać, dokąd może prowadzić ten gościniec, kiedy zauważyliśmy wreszcie, że schodzi dość znacznie w dół.

Wówczas ktoś zwrócił uwagę:

– Droga się obniża, prowadzi w przepaść. Obraliśmy mylny kierunek.

– To nic, chodźmy zobaczyć, co dalej będzie – odrzekłem.

Koło nas przechodziły nieprzeliczone rzesze, pędząc bezmyślnie naprzód po owym szerokim gościńcu. Jechali powozami, konno, szli pieszo. Skakali, hasali, śpiewając i tańcząc przy dźwiękach muzyki; wiele zaś maszerowało w takt bębnów. Była to uroczystość i wesele nie do opisania.

– Przystańmy chwilkę – powiadam – przypatrzmy się nieco, zanim zmieszamy się z tłumem.

W tej chwili jeden z chłopców zauważył, że wśród podróżnych kręcą się podejrzane osobniki, które niejako przewodniczą poszczególnym grupom. Byli przystojni z wyglądu, dobrze ubrani, wykwintni w ruchach, lecz spod kapeluszy wyglądały im rogi. Zatem owa wielka równina była wyobrażeniem zepsutego świata i jego przewrotności: „Droga wydająca się człowiekowi prawą, lecz ostatecznie jej rzeczy prowadzą do śmierci”. (Przyp. 16,25).

Nagle nasz Nieznajomy przemówił:

– Oto jak ludzie prawie niepostrzeżenie zdążają do piekła.

Po tych słowach zawołałem natychmiast na wyprzedzających mnie chłopców, którzy biegiem zawrócili krzycząc:

– Nie chcemy iść w dół tą drogą.

I nie przestając uciekać z obranej drogi, zostawili mnie samego.

– Tak, macie słuszność – odrzekłem, gdy ich dogonił.

Uciekajmy stąd czym prędzej, gdyż inaczej ani się spostrzeżemy, jak będziemy w piekle.

Pragnęliśmy powrócić na plac, z którego wyszliśmy i skierować się na ścieżkę prowadzącą pod górę, do nieba, lecz jakże było nasze rozczarowanie, gdy po długiej wędrówce nie natrafiliśmy już więcej na dolinę wiodącą do nieba. Ale tylko na jakąś łąkę.

Błakając się to w jedną to w drugą stronę, nie możemy się zorientować. Jedni lamentowali, żeśmy zgubili drogę. Inni krzyczeli, że nie, nie zbłądziliśmy, droga jest tutaj.

W czasie tej sprzeczki chłopców obstawiających każdy przy swoim zdaniu – obudziłem się.

Oto druga część snu, jaki miałem następnej nocy. Zanim się rozejdziecie, posłuchajcie jeszcze jednej rzeczy. Nie chcę, żebyście przykładali wagę do mojego opowiadania, lecz zapamiętajcie sobie, że uciechy prowadzące na zatracenie, są tylko uciechami pozornymi, mają tylko zewnętrzną szatę piękną. Miejcie się również na baczności przed tymi występkami, które nas czynią podobnymi do zwierząt i stawiają na równi z nimi, przed grzechami nieczystymi. O, jak niegodnym jest stworzenie rozumnego być porównania do wołów lub osłów. A jeszcze bardziej niegodnym jest istoty stworzonej na obraz i podobieństwo boże, naznaczonej dziedzictwem nieba – tarzać się w błocie, jak wieprze, popełniając grzechy, które Pismo św. piętnuje słowami: „luxuriose vivendo – żyjąc rozpustnie”. Przedstawiłem wam tylko główne okoliczności snu i to pokrótce, ponieważ na opowiedzenie wszystkiego, tak jak widziałem, potrzeba by zbyt wiele czasu. Również wczoraj wieczorem podałem tylko mały skrót tego, co widziałem. Trzecią część snu opowiem na przyszły raz.

CZĘŚĆ TRZECIA

Wolałbym nie opowiadać moich snów. Nawet wczoraj po rozpoczęciu, żałowałem, że dałem wam obietnicę. Muszę jednak

mówić dalej:, jeśli zamilczę, jeśli zachowałem dla siebie tajemnicę, wówczas bardzo cierpię; gdy zaś opowiadam doznaję wielkiej ulgi; zatem ciągnę dalej. Zaznaczam jednak, że poprzednich wieczorów musiałem wiele rzeczy pominąć, o których nie wypadło mówić, oraz opuścić inne, które łatwo zobaczyć oczyma, ale trudno opisać słowami.

Zważcie, więc, że oglądając wszystkie wspomniane sceny, różne miejsca, podglądając drogi, jakimi idzie się do piekła, za wszelką cenę chcieliśmy dostać się do nieba, lecz krążąc tu i tam zbaczaliśmy stale od celu wędrówki wskutek nastroczających się coraz to nowych widoków.

Wreszcie odnaleźliśmy właściwą drogę, dostaliśmy się ponownie na plac, z którego zgromadzone tłumy starały się dotrzeć z góry. Plac wydawał się bardzo duży, lecz kończy się, jak wspomniałem, ciasną ścieżką między dwiema wzniosłymi skałami. Kto przedostał się przez przesmyk i stanął po drugiej stronie, musiał z kolei przejść długi most, wąski i bez poręczy, pod którym zapadała się bezdenna, groźna otchłań.

– Ot, nareszcie ścieżka prowadząca do nieba. Tam, tam chodźmy! Ruszyliśmy w tym kierunku.

Niektórzy chłopcy natychmiast puścili się biegiem zostawiając w tyle towarzystwo. Chciałem, by na mnie poczekał, lecz im strzeliło do głowy by być pierwsi od nas. Przybywszy do owego wąskiego przejścia stanęli przerażeni. Dodawałem im odwagi:

– No. Naprzód! Czemu stoicie?

– Tak? Odrzekli. Niech ksiądz przyjdzie spróbować.

Gorąco się robi na samą myśl, że trzeba przejść przez ten przesmyk tak ciasny, a potem przez taką wąską kładkę. Jeśli zmylimy, choć jeden krok, wpadniemy w przepastną głęboką wodną i nikt nas więcej nie zobaczy. Wreszcie ktoś odważył się pierwszy, drugi poszedł za nim jego śladem i tak wszyscy kolejno przedostawali się na przeciwną stronę i stanęliśmy u podnóża góry.

Chcąc wspiąć się na nią znowu nie mogliśmy znaleźć ścieżki. Okrążaliśmy uważnie jej zbocza, ale wszędzie nasterczały się tysięczne trudności. Tu leżały olbrzymie głazy w bezładnych stosach, tam wznosiła się wysoka, nie do przewyciężenia skała, ówdzie ciągnęła się przepaść, gdzie indziej kolczaste krzaki zagradzały drogę. A wszędzie bardzo stromo. Staliśmy w obliczu olbrzymich trudności. Jednakowoż nie tracąc otuchy, wspinamy się z całym zapałem. Po godzinnym mozolnym wdrapywaniu się, pomagając sobie rękami i nogami, a nieraz wciągając jeden drugiego, doszliśmy do miejsca, gdzie przeszkody były mniejsze i zaczynały się wygodne ścieżki. Tak dotarliśmy do miejsca, gdzie na zboczu było mnóstwo osób cierpiących w sposób tak straszny i dziwny, że zdjęła nas groza i litość. Nie chcę wam opowiadać tego, co widziałem, ponieważ by to was przeraziło. Zatem ciągnę dalej.

Otóż widzieliśmy potem innych ludzi wspinających się po zboczach góry. Ktokolwiek z nich dotarł do szczytu, tego oczekujących przyjmowali z wielką uroczystością i przeciągłymi oklaskami. Jednocześnie posłyszeliśmy prawdziwie niebiańską muzykę, przesłodkie śpiewy, przeplatane najcudowniejszymi hymnami. To nas zachęciło jeszcze więcej do postępowania naszą ścieżką.

Idąc zastanawiałem się i dzieliłem z chłopcami moimi myślami: Czy my, którzy pragniemy iść do nieba, jesteśmy już umarłymi? Słyszałem zawsze i wiem, że trzeba pierwiej przejść przez sąd. Czyżbyśmy już byli osądzeni?

– Nie – odpowiedziano mi. Jesteśmy jeszcze żywi. Sądu nie było.

I śmialiśmy się.

– Jakkolwiek jest – podjąłem – żywi czy umarli, idźmy naprzód, aby się przekonać, co tam jest na górze, a potem jakoś tam będzie.

I przyśpieszyliśmy kroku. Tak postępując doszliśmy w końcu prawie że do szczytu góry. Ci, co stali na szczycie, byli już gotowi, by nas przyjąć i przywitać, gdy wtem odwróciłem się,

aby zobaczyć, czy wszyscy chłopcy są ze mną; oto ku wielkiej mojej boleści, stwierdziłem, że jestem prawie sam. Spośród wszystkich moich małych towarzyszy, zostało mi tylko trzech czy czterech.

– A inni? Zapytałem niemało zgniewany, wstrzymując krok.

– O. Odrzekli ci, co byli przy mnie – widocznie zatrzymali się tam po drodze. Chyba nadejdą.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem ich rozproszonych po górze w poszukiwaniu ślimaków między kamieniami, kwiatów bez woni, dzikich owoców, w pogoni za motylami, świerszczami, lub po prostu siedzących na kępach sitowia, w cieniu drzew itp.

Począłem krzyczeć, ile sił w gardle, machać rękami, wołałem ich po imieniu, aby się pośpieszyli, gdyż nie był to czas na odpoczynek. Nadeszło jeszcze kilku, tak, iż około ośmiu zebrało się przy mnie.

Inni nie zważali na moje wołanie i nie myśleli iść w górę, zajęci swymi błahostkami. Za nic w świecie nie chciałem iść do nieba z tak małą grupką chłopców, dlatego postanowiwszy zejść i przymusić opornych, rzekłem tym, którzy mnie otaczali:

– Zawrócę i zejdem w dół, by ich pozbierać. Wy zaczekajcie tutaj.

Tak też zrobiłem. Kogo tylko spotkałem, popychałem ku górze, Temu zwracałem jakąś uwagę, tamtemu dawałem upomnienia, innego ostro zbeształem. Nie poskąpiłem też rąk i pięści.

– Idziesz w górę? Na miłość boską nie zatrzymujcie się przy takich drobnostkach.

Tak schodząc w dół upomniałem już prawie wszystkich i znalazłem się przy owej spadzistości, którą z takim trudem pokonaliśmy. Tu właśnie powstrzymałem jeszcze kilku, którzy zmęczeni trudami wspinali się i przerażeni wysokością, schodzili ku dołowi. Następnie podjąłem na nowo trud wspinaczki, by powrócić do reszty chłopców, lecz cóż? Potknąłem się o jakiś kamień i ... przebudziłem się.

Opowiedziałem wam sen, lecz pragnę od was dwu rzeczy: po pierwsze, powtarzam, abyście go nie opowiadali poza domem żadnej postronnej osobie. Gdyby bowiem ktoś obcy posłyszał, wyśmiano by nas. Ja wam opowiadam te rzeczy dla rozrywki, wy również opowiadajcie je sobie wzajemnie, ile chcecie, lecz pragnę, byście przywiązywali do snu tylko tyle wagi, na ile zasługuje. Po drugie chce wam powiedzieć, żeby nikt nie przychodził pytać, czy znajdował się razem z innymi, czy też nie, kto tam był, co porabiał, czy należał do małej grupy, czy też do reszty gromady, jakie miejsce zajmował itp. rozpoczęłaby się, bowiem na nowo historia tegorocznej zimy. To mogłoby dla niejednego być bardziej szkodliwe niż pożyteczne, a ja nie chcę niepokoić sumień.

Zaznaczę tylko, że gdyby to nie był sen, ale rzeczywistość, gdybyśmy musieli wówczas umrzeć i wyruszyć w drogę na sąd, to spośród tylu chłopców, ilu nas jest, doszłoby zaledwie paru. Z siedmiuset, czy ośmiuset chłopców, znalazłoby się zaledwie trzech czy czterech tych szczęśliwych. Aby was jednak nie przestraszyć, musimy się dobrze porozumieć. Wyjaśniam to ostatnie zbyt śmiałe twierdzenie: powiadam, że nie znalazłoby się więcej niż trzech lub czterech, którzy od razu dostaliby się do nieba, bez postoju jakiś czas w płomieniach czyścicowych. Kilku pozostałoby w czyścicu przez minutę; inni przez cały dzień, a jeszcze inni przez wiele dni i tygodni, lecz prawie wszyscy musieliby się tam dostać. Chcecie wiedzieć, jak uniknąć czyścica? Starajcie się zdobyć jak najwięcej odpustów. Jeśli z należytym usposobieniem dopełnicie praktyki, do których są przywiązane odpusty, jeśli uzyskacie odpust zupełny, to po śmierci dostaniecie się wprost do nieba.

/Na podstawie Memorie Biografiche wg księdza Lemoyne: /

Ksiądz Bosko nie dał o tym śnie żadnego wyjaśnienia osobistego i praktycznego dla poszczególnych wychowanków i bardzo mało wypowiedział się o znaczeniu oglądanych obrazów. Nie było to łatwe. Chodziło o pojęcie przedstawione w różnorodnych scenach, które raz następowały jedne po drugich, to znowu

pojawiały się równocześnie, przedstawiając Oratorium w stanie teraźniejszym i przyszłym, chłopców przebywających obecnie w zakładzie i późniejszych, wraz z ich profilem moralnym i przyszłymi losami. Pobożne Towarzystwo Salezjańskie w rozwoju, w chwilach krytycznych i pomyślnych, Kościół katolicki wśród prześladowań, nieprzyjaciół i triumfów, których mu nigdy nie zabraknie, i w ogóle wiele innych wypadków ogólnych i szczególnych.

Przy takim zakresie, powikłaniach i niejasnościach obrazów, ksiądz Bosko nie mógł, nie umiał wytłumaczyć w zupełności wszystkiego, co tak żywo przedstawiało się jego wyobraźni. Wiele też rzeczy wypadało lub należało zamilczeć, względnie wyjawić jedynie osobom roztropnym, dla których podobne odsłonięcie tajemnicy mogłoby być pokrzepieniem lub napomnieniem.

Wykładając młodzieży różne sny wybierał tylko te, co przedstawiały większą korzyść, ponieważ taki był zamiar Istoty, dającej mu owe tajemnicze objawienia. Od czasu do czasu jednak wspominał ogólne i pobieżne o innych faktach, lub wyrażał jakieś pojęcie niezwiązane z poprzednim opowiadaniem, skąd można było wnosić, że o wiele więcej rzeczy zamilczał, niż opowiadał.

Tak na przykład, postąpił opisując tę wspaniałą wycieczkę do nieba. Postaramy się objaśnić ją pokrótce, czy to na podstawie słów księdza Bosko, czy też naszych własnych rozważań, których ocenę pozostawiamy czytelnikowi.

1. Wzgórze, które spotkał na początku wędrówki zdaje się przedstawia Oratorium. Śmieje się ono okazałą bujnością, młodej roślinności, brak na nim drzew długoletnich, grubych i wysokich. W każdej porze zbiera się tam kwiaty i owoce, jak właśnie jest i być powinno w Oratorium. Opiera się ono, jak w ogóle całe dzieło księdza Bosko, na dobroczynności, o której księga Eklezjastyka w rozdz. 40. powiada, że jest ogrodem błogosławionym dla Boga, wydającym owoce drogocenne, owoce

nieśmiertelne, podobnie jak w raju ziemskim, gdzie między innymi drzewami znajdowało się drzewo życia.

2. Podróżnym wstępującym na górę jest zapewne ów człowiek szczęśliwy, opisany w psalmie 83, którego cała moc spoczywa w Panu. On to na tej ziemi, łoż dolinie „ascensiones in corde suo dissposuit”, postanowił iść ustawicznie w górę ku mieszkaniu Najwyższego, to jest ku niebu, a razem z nim tylu innych. Prawodawca zaś Jezus Chrystus będzie mu błogosławił, napełni go łaskami niebieskimi i postępować będzie z cnoty w cnotę, aż dojdzie do oglądania Boga na błogosławionej górze Syjonu, gdzie będzie wiecznie szczęśliwy.

3. Jeziora znajdują się być skrótem historii Kościoła: niezliczone mnóstwo członków roztrzaskanych na brzegach należy do prześladowców, niewiernych, do heretyków, schizmatyków i złych zbuntowanych chrześcijan. Z pewnych słów snu można się domyślać, że ksiądz Bosko widział wypadki obecne i przyszłe.

– Paru jednostkom, i to tylko prywatnie głosi kronika, ksiądz Bosko, opisując ową pustą dolinę, po drugiej stronie jeziora krwi, zaznaczył: ... ta dolina ma się zapełnić krwią, szczególnie kapłanów i może to nastąpić nawet bardzo rychło”.

W tych dniach – ciągnie dalej kronika – udał się ksiądz Bosko z wizytą do kardynała De Angelis. Kardynał tak go zagadał:

– Proszę mi powiedzieć coś dla rozweselenia.

– Opowiem jego Ekscelencji sen.

– Doskonale, posłuchamy.

Ksiądz Bosko zaczął opowiadać co wyżej opisaliśmy, ale z drobniejszymi szczegółami i wyjaśnieniami. Kiedy doszedł do jeziora krwi, kardynał przybrał wyraz poważny i zasmucony. Wówczas ksiądz Bosko przerwał opowiadanie słowami:

– Tylko dotąd.

– Proszę ciągnąć dalej – rzecze kardynał.

– Tylko tyle i wystarczy – zakończył Święty i począł rozprawiać o rzeczach wesołych.

4. Scena przedstawiająca ciasne przejście między dwiema

skałami, kładka z drzewa (która oznacza Krzyż Jezusa Chrystusa), pewność przejścia przez nią przy pomocy wiary, niebezpieczeństwo stoczenia się w przepaść, jeśli komu brak prawdziwego celu, wszelkiego rodzaju przeszkody w dotarciu do miejsca, gdzie ścieżka była wygodniejsza, wszystko to, jeśli się mylimy, oznacza powołanie zakonne. Stojący na placu byli to chłopcy wezwani do służby Bogu w naszym Zgromadzeniu. Istotnie, godny uwagi jest szczegół, że rzesze oczekujące wejścia na ścieżkę prowadzącą do nieba były zadowolone, szczęśliwe i zajęte rozrywkami. Oznacza to, że przeważnej mierze były one złożone z osób dorosłych. Dodamy, że przy wstępowaniu pod górę część się zatrzymała, część zaś zawróciła. Czy to nie oznacza oziębłości w stosunku do powołania?

5. Na jednym zboczu góry, zaraz po przezwyciężeniu przeszkód, które się piętrzyły u jej stóp, ksiądz Bosko widział cierpiących ludzi. Niektórzy zapytywali go prywatnie – pisze ks. Bonetti – a on odpowiedział, że to miejsce oznaczało czyścić. Gdybym chciał powiedzieć kazanie na temat czyśćca, wystarczyłoby mi opisać to, co widziałem. Są to rzeczy przejmujące grozą. Powiem tylko, że między różnego rodzaju katuszami, widziałem takich, którzy byli przywaleni jakimiś głazami, spod których wystawały im ręce, nogi i głowy; oczy ich pałały żarem ognia. Ściśnięci i zgnieceni wywoływali grozę u patrzącego.

Dodajmy ostatnie ważne spostrzeżenie dla tego i innych snów, które podamy w przyszłości. Mianowicie, w snach względnie wizjach księdza Bosko występuje zawsze jakaś Osobistość tajemnicza służąca za przewodnika i tłumacza księdza Bosko. Któż to może być? To właśnie najciekawsze i zadziwiające w tych snach, którego to sekretu nigdy nie wyjawiał Święty.

(MB IT VI, 864-882/MB PL VI, 306-322)

Wiazanka 2025. Zakotwiczeni w nadziei, pielgrzymujący z młodzieżą

WPROWADZENIE. ZAKOTWICZENI W NADZIEI, PIELGRZYMUJĄCY Z MŁODZIEŻĄ

1. SPOTKANIE Z CHRYSTUSEM, NASZĄ NADZIEJĄ, ABY URZECZYWISTNIĆ SEN KSIĘDZA BOSKO

1.1 Jubileusz

1.2 Rocznica Pierwszej Salezjańskiej Wyprawy Misyjnej

2. JUBILEUSZ: CHRYSTYS – NASZA NADZIEJA

2.1 Pielgrzymi, zakotwiczeni w chrześcijańskiej nadziei

2.2 Nadzieja jako droga do Chrystusa, droga do życia wiecznego

2.3 CECHY NADZIEI

2.3.1 Nadzieja jako ciągłe, gotowe do działania, wizjonerskie i prorocze napięcie

2.3.2 Nadzieja to postawienie na przyszłość

2.3.3 Nadzieja nie jest sprawą prywatną

3. NADZIEJA JAKO FUNDAMENT MISJI

3.1 Nadzieja wiąże się z odpowiedzialnością

3.2 Nadzieja wymaga odwagi od wspólnoty chrześcijańskiej

3.3 «Da mihi animas»: „duch” misji

3.3.1 Postawa wysłanego

3.3.2 Okazać wdzięczność, przemyśleć i odnowić

4. NADZIEJA JUBILEUSZOWA I MISYJNA PRZEKŁADA SIĘ NA KONKRETNE I CODZIENNE ŻYCIE

4.1 Nadzieja jest siłą w codzienności, która wymaga świadectwa

4.2 Nadzieja to sztuka cierpliwości i oczekiwania

5. ŹRÓDŁO NASZEJ NADZIEI: W BOGU Z KSIĘDZEM BOSKO

5.1 Bóg jest źródłem naszej nadziei

5.1.1 Krótkie przypomnienie snu

[5.1.2 Ksiądz Bosko „olbrzymem” nadziei](#)

[5.1.3 Cechy nadziei w Księdzu Bosko](#)

[5.1.4 „Owoce” nadziei w Księdzu Bosko](#)

[5.2 Wierność Boga: aż do końca](#)

[6. Z... MARYJĄ: NADZIEJA I MATCZYNA OBECNOŚĆ](#)

WPROWADZENIE. ZAKOTWICZENI W NADZIEI, PIELGRZYMUJĄCY Z MŁODZIEŻĄ

Drodzy siostry i bracia należący do różnych grup Rodziny Salezjańskiej Księdza Bosko, serdecznie was pozdrawiam na początku tego nowego roku 2025!

Nie bez wzruszenia zwracam się do każdego z was w tym szczególnym czasie łaski, naznaczonym dwoma ważnymi wydarzeniami w życiu Kościoła i naszej Rodziny: Jubileuszem Roku 2025, który uroczyście rozpoczął się 24 grudnia ubiegłego roku otwarciem świętych drzwi Bazyliki Świętego Piotra w Watykanie, oraz 150. rocznicą Pierwszej Salezjańskiej Wyprawy Misyjnej, która była pragnieniem naszego ojca, Księdza Bosko, a która wyruszyła 11 listopada 1875 roku do Argentyny i innych krajów na kontynencie amerykańskim.

Te dwa ważne wydarzenia znajdują swój punkt odniesienia w nadziei. Istotnie, papież Franciszek wskazał właśnie tę cnotę jako główny motyw obchodów tego Jubileuszu. I podobnie doświadczenie misyjne jest takim wyrazem nadziei dla wszystkich: dla tych, którzy wyjechali (i wyjeżdżają) na misje oraz dla tych, do których przybywają misjonarze.

Rok, który został nam dany, jest zatem pomocnym narzędziem dla naszego konkretnego i codziennego rozwoju, które może sprawić, że nasze człowieczeństwo zaowocuje jeszcze większą troską o innych... Jednak stanie się to tylko w sercach, które stawiają

Boga w centrum, mogąc powiedzieć: „Na pierwszym miejscu stawiam Ciebie”.

W tym komentarzu postaram się uwypuklić te elementy i pogłębić w charyzmatycznym kluczu to, do czego Kościół jest zaproszony w tym roku, podkreślając to, co nas, Rodzinę Księdza Bosko, powinno prowadzić nas ku nowym horyzontom.

1. SPOTKANIE Z CHRYSTUSEM, NASZĄ NADZIEJĄ, ABY URZECZYWISTNIĆ SEN KSIĘDZA BOSKO

Temat tegorocznej Wiązanki nawiązuje do dwóch wydarzeń: Zwyczajnego Jubileuszu Roku 2025 i 150. rocznicy Pierwszej Salezjańskiej Wyprawy Misyjnej, wysłanej przez księdza Bosko do Argentyny.

Zbieżność obu tych wydarzeń, którą ośmielę się nazwać „opatrnościową”, sprawia, że ten rok 2025 przedstawia się niezwykle dla nas wszystkich, a w sposób szczególny dla Salezjanów Księdza Bosko. W lutym, marcu i kwietniu będzie się odbywać XXIX Kapituła Generalna, która doprowadzi między innymi do wyboru nowego Przełożonego Generalnego i nowej Rady Generalnej.

Te wydarzenia, przeżywane na poziomie lokalnym i globalnym, które angażują nas na różne sposoby, chcemy przeżywać głęboko i intensywnie. A to dlatego, że dzięki tym wydarzeniom możemy doświadczyć radości ze spotkania z Chrystusem i znaczenia owego zakotwiczenia w nadziei.

1.1 Jubileusz

«*Spes non confundit!* Nadzieja zawieść nie może!»[\[1\]](#).

Tymi słowami papież Franciszek otwiera ten Jubileusz. Jakże wspaniałe słowa! Cóż za „prorocze” wskazanie!

Jubileusz to pielgrzymka, której celem jest ponowne umieszczenie Jezusa Chrystusa w centrum naszego życia i życia świata. On bowiem jest naszą nadzieją. On jest Nadzieją Kościoła i całego świata!

Wszyscy jesteśmy świadomi, że współczesny świat potrzebuje nadziei, która stawia nas w relacji z Jezusem Chrystusem oraz z naszymi braćmi i siostrami. Potrzebujemy tej nadziei, która czyni nas pielgrzymami; która wprawia nas w ruch i pozwala nam iść do przodu.

Mówimy o nadziei jako o ponownym odkryciu obecności Boga. Papież Franciszek życzy na początku swego listu: „Niech nadzieja napełni serce”[\[2\]](#); nie tylko ogrzewa serce, ale napełni je, wypełni je aż do przesytu!

1.2 Rocznicą Pierwszej Salezjańskiej Wyprawy Misyjnej

Tą nadzieją przepełnione były serca uczestników Pierwszej Salezjańskiej Wyprawy Misyjnej do Argentyny 150 lat temu.

Ksiądz Bosko z Valdocco rozprzestrzenia swoje serce poza wszelkie granice, wysyłając swoich synów na drugi koniec świata! Wysyła ich, nie bacząc na żadne ludzkie bezpieczeństwo; wysyła ich, aby kontynuowali to, co on rozpoczął. I w tym kroczy z innymi, żywiąc nadzieję i zaszczepiając nadzieję. Najzwyczajniej wysyła ich, a pierwsi (młodzi) współbracia wyruszają w drogę. Dokąd? Nawet oni sami tego nie wiedzą! Ale są pełni nadziei, są posłuszni. To

obecność Boga ich prowadzi.

W tym entuzjastycznym posłuszeństwie nasza nadzieja również dzisiaj znajduje nową energię i pobudza nas, byśmy wyruszyli w drogę jako pielgrzymi.

Dlatego właśnie ta rocznica powinna być obchodzona w sposób szczególny, ponieważ pomaga nam ona rozpoznać dar (nie osobiste osiągnięcie, ale darmowy dar od Pana); pozwala nam pamiętać i z tej pamięci czerpać siłę do stawiania czoła przeciwnościom i do budowania przyszłości.

Tak więc tak żyjemy dzisiaj, aby uczynić tę przyszłość możliwą i robimy to w jedyny sposób, który uważamy za wspaniały: krocząc z młodymi ludźmi i wszystkimi osobami z naszych środowisk (zaczynając od najbiedniejszych i najbardziej zapomnianych) drogą prowadzącą do spotkania z Chrystusem, naszą jedyną Nadzieją.

2. JUBILEUSZ: CHRYSTYS – NASZA NADZIEJA

Jubileusz to wspólne kroczenie, zakotwiczone w Chrystusie, naszej nadziei. Ale co to tak naprawdę oznacza?

Odwołam się tutaj ponownie do Bulli papieskiej zwołującej Jubileusz 2025, gdzie wskazane są niektóre cechy nadziei.

2.1 Pielgrzymi, zakotwiczeni w chrześcijańskiej nadziei

Jesteśmy przekonani, że nic i nikt nie może oddzielić nas od Chrystusa [\[31\]](#). To do Niego chcemy należeć, do Niego przyłgnąć i w Nim się zakotwiczyć. Nie możemy kroczyć bez naszej kotwicy.

Kotwicą nadziei jest zatem sam Chrystus, który niesie

cierpienia i rany ludzkości na krzyżu w obecności Ojca.

Istotnie, kotwica ma kształt krzyża, dlatego była również przedstawiana w katakumbach, symbolizując przynależność wiernych zmarłych do Chrystusa Zbawiciela.

Ta kotwica jest już mocno przytwierdzona do portu zbawienia. Naszym zadaniem jest przytwierdzić do niej nasze życie, umocować linę, która połączy naszą łódź z kotwicą Chrystusa.

Żeglujemy po wzburzonych falach morza i musimy zakotwiczyć się w czymś solidnym. Ale teraz naszym zadaniem nie jest już zarzucenie kotwicy i przymocowanie jej do dna morskiego. Nasze zadanie teraz polega na przymocowaniu naszej łodzi do liny, która niejako zwisa z Nieba, gdzie kotwica Chrystusa jest silnie zamocowana. Przywiązując się do tej liny, przywiązujemy się do kotwicy zbawienia i czynimy pewną naszą nadzieję.

Nadzieja zaś jest pewna, gdy łódź naszego życia przytwierdzona jest do liny, która łączy nas z kotwicą zamocowaną w Chrystusie ukrzyżowanym, który stoi po prawicy Ojca, to znaczy trwa w wiecznej komunii z Ojcem, w miłości Ducha Świętego[\[4\]](#).

Wszystko to dobrze wyraża modlitwa liturgiczna z uroczystości Wniebowstąpienia Pańskiego:

„Wszechmogący Boże, wniebowstąpienie Twojego Syna jest wywyższeniem ludzkiej natury, spraw, abyśmy pełni świętej radości składali Tobie dziękczynienie i utwierdź naszą nadzieję, że my, członkowie Mistycznego Ciała Chrystusa, połączymy się z Nim w chwale”[\[5\]](#).

Czeski pisarz i polityk Vaclav Havel definiuje nadzieję jako stan umysłu, wymiar duszy. Nie zależy ona od wcześniejszej obserwacji świata, nie jest przewidywaniem.

A Byung-Chul Han dodaje: „Nadzieja jest nastawieniem serca, które wykracza poza bezpośredni obszar doświadczenia, jest zakotwiczeniem gdzieś poza horyzontem.

Korzenie nadziei tkwią w tym, co transcendentne: dlatego nie jest tym samym mieć nadzieję i być zadowolonym z tego, że wszystko idzie dobrze. Możemy myśleć, że nadzieja to po prostu chęć uśmiechania się do życia, aby ono z kolei uśmiechnęło się do nas, ale tak nie jest, musimy iść głębiej, musimy przejść po linie, która prowadzi nas do kotwicy.

Nadzieja to zdolność każdego z nas do pracy na rzecz czegoś, co jest słuszne, a nie dlatego, że okaże się pewnym sukcesem. Może się nie udać, może pójść źle: nie mamy nadziei, że pójdzie dobrze, nie jesteśmy optymistami. Trudzimy się, aby tak się stało. Dlatego nadzieja to nie to samo, co optymizm. Nadzieja nie jest przekonaniem, że coś pójdzie dobrze, ale pewnością, że coś ma sens niezależnie od wyniku.

Robić coś, ponieważ ma to sens: na tym polega nadzieja, która zakłada pewne wartości i wiarę.

To właśnie pozwala jej trwać i daje nam siłę, by próbować czegoś wciąż na nowo, nawet w rozpacz" [\[6\]](#).

Ale jak można się poruszać, pozostając zakotwiczonym? Kotwica nam ciąży, ogranicza nas, unieruchamia. Dokąd prowadzi ta droga? Prowadzi do wieczności.

2.2 Nadzieja jako droga do Chrystusa, droga do życia wiecznego

Obietnica życia wiecznego, złożona każdemu z nas, nie omija drogi życia, nie jest skokiem w górę. Nie proponuje wsiąść do rakiety, która startuje z ziemi i leci w przestrzeń kosmiczną, zostawiając ziemską drogę z jej kurzem; nie pozwala też płynąć łodzi pośrodku morza bez nas.

Jest ona właśnie kotwicą umocowaną w wieczności, do której pozostajemy przywiązani liną, która pozwala utrzymać łódź w stabilnej pozycji. I właśnie ten fakt, że jest ona umocowana w Niebie, sprawia, że łódź nie pozostaje nieruchomo na środku

morza, ale płynie dalej, przepływając przez fale.

Gdyby Chrystusowa kotwica zakotwiczyła człowieka na dnie morza, wszyscy pozostalibyśmy tam, gdzie jesteśmy, być może spokojni, bez problemów, ale nie moglibyśmy odbyć naszej podróży, iść naprzód. Natomiast to zakotwiczenie życia w Niebie oznacza, że obietnica, która budzi naszą nadzieję, nie zatrzymuje naszej podróży, i chociaż nie zapewnia nam też bezpiecznego miejsca, gdzie moglibyśmy się schronić i zatrzymać, daje nam za to pewność co do możliwości dalszej drogi i kontynuowania podróży. Ta obietnica, która dotyczy celu, który jest pewny, bo osiągnięty z myślą o nas przez Chrystusa, sprawia, że każdy krok na drodze naszego życia, który stawiamy, jest pewny i zdecydowany.

Ważne jest więc, aby postrzegać Jubileusz jako pielgrzymkę, jako zaproszenie do bycia w ruchu, do wyjścia poza siebie, aby skierować się w stronę Chrystusa.

Jubileusz zawsze był synonimem drogi. Jeśli naprawdę pragniesz Boga, musisz się poruszać, musisz być w drodze. Ponieważ pragnienie Boga, tęsknota za Bogiem popycha cię do szukania Go, a jednocześnie prowadzi cię do odnalezienia samego siebie i innych.

„Urodziliśmy się i nigdy więcej nie umrzemy”[\[7\]](#).

Taki piękny i wymowny tytuł nosi książka biograficzna o słuźebnicy Bożej Klarze Corbelli Petrillo. I tak właśnie jest, ponieważ nasze przyjsie na świat jest ukierunkowane na życie wieczne. Życie wieczne jest obietnicą, która przełamuje wrota śmierci, otwierając nas na bycie „twarzą w twarz” z Bogiem, już na zawsze. Śmierć jest drzwiami, które się zamykają, a jednocześnie drzwiami, które otwierają się szeroko na ostateczne spotkanie z Bogiem!

Wiemy dobrze, jak żywe w księdzu Bosko było pragnienie Nieba, które proponował i które z radością dzielił z wychowankami z Oratorium.

2.3 CECHY NADZIEI

2.3.1 Nadzieja jako ciągłe, gotowe do działania, wizjonerskie i prorocze napięcie

Gabriel Marcel [\[8\]](#), uchodzący za filozofa nadziei, uczy nas, że nadzieja wpisuje się w tkankę ciągłego doświadczenia; mieć nadzieję to znaczy zawierzyć rzeczywistości jako prefiguracji przyszłości.

Eric Fromm [\[9\]](#) pisze natomiast, że nadzieja nie jest biernym oczekiwaniem, ale ciągłym, nieustannym napięciem. Jest jak tygrys, przykucający i skaczący tylko wtedy, gdy nadejdzie właściwy czas.

Mieć nadzieję to być czujnym w każdej chwili, w odniesieniu do wszystkiego, co jeszcze się nie wydarzyło. Miały nadzieję dziewice, które czekały na oblubieńca z zapalonymi lampami, miał nadzieję ks. Bosko, kiedy stawał w obliczu trudności i klękał do modlitwy.

Nadzieja jest gotowa w chwili, gdy wszystko ma się narodzić.

Jest czujna, uważna, słuchająca, zdolna do pokierowania w tworzeniu czegoś nowego, w dawaniu życia przyszłości na ziemi.

Dlatego jest „wizjonerska i prorocza”. Skupia naszą uwagę na tym, czego jeszcze nie ma, pomagając zrodzić się czemuś nowemu.

2.3.2 Nadzieja to postawienie na przyszłość

Bez nadziei nie ma rewolucji, nie ma przyszłości, jest tylko teraźniejszość bazująca na jałowym optymizmie.

Często uważa się, że ten, kto ma nadzieję, jest optymistą,

podczas gdy pesymista jest zasadniczo jego przeciwieństwem. Tak jednak nie jest. Nie można mylić nadziei z optymizmem. Nadzieja jest znacznie głębsza, ponieważ nie zależy od nastrojów, uczuć czy sentymentalizmu. Istotą **optymizmu** jest wrodzona pozytywność. Optymista żyje w przekonaniu, że wszystko jakoś się ułoży. Dla optymisty czas jest kwestią zamkniętą, nie zastanawia się nad przyszłością: wszystko będzie dobrze i tyle.

Paradoksalnie, dla **pesymisty** czas jest również sprawą zamkniętą: czuje się jak więzień zniewolony teraźniejszością, zaprzecza wszystkiemu, nie zapuszczając się w inne możliwe światy. Pesymista jest tak samo uparty jak optymista, obaj nie dostrzegają istniejących możliwości, ponieważ to, co możliwe, jest im obce, brakuje im pasji w odniesieniu do tego, co możliwe.

W przeciwieństwie do obu nadzieja stawia na to, co może wykraczać poza to, co może być.

I dalej, optymista (podobnie jak pesymista) nie podejmuje działań, ponieważ każde działanie wiąże się z ryzykiem, a on nie chce podejmować tego ryzyka, zachowuje się pasywnie, nie chce doświadczyć porażki.

Nadzieja natomiast wyrusza na poszukiwanie, stara się znaleźć kierunek, zmierza ku temu, czego jeszcze nie zna, wyznacza kurs ku nowym rzeczom. I to właśnie oznacza pielgrzymowanie dla chrześcijanina.

2.3.3 Nadzieja nie jest sprawą prywatną

Wszyscy nosimy nadzieję w naszych sercach. Nie można nie mieć nadziei, ale prawdą jest również, że możemy się łudzić, wybierając perspektywy i ideały, które nigdy nie zostaną zrealizowane, które są jedynie chimerami i wabikami.

Duża część naszej kultury, zwłaszcza zachodniej, jest pełna fałszywych nadziei, które zwodzą i niszczą lub mogą

nieodwracalnie zrujnować egzystencję jednostek i całych społeczeństw.

Zgodnie z ideą pozytywnego myślenia, wystarczy zastąpić negatywne myśli pozytywnymi, aby żyć szczęśliwiej. Dzięki temu prostemu mechanizmowi negatywne aspekty życia są całkowicie pomijane, a świat jawi się niczym sklep Amazona, który zapewni nam wszystko, czego chcemy, dzięki naszemu pozytywnemu nastawieniu.

Podsumowując, gdyby nasza chęć pozytywnego myślenia była wystarczająca do bycia szczęśliwym, to każdy mógłby sam wyłącznie decydować o własnym szczęściu.

Paradoksalnie, kult pozytywności izoluje ludzi, czyni ich samolubnymi i niszczy empatię, ponieważ ci troszczą się tylko o siebie i nie przejmują się cierpieniem innych.

Nadzieja, w przeciwieństwie do pozytywnego myślenia, nie unika negatywnego wymiaru życia, nie izoluje, ale jednoczy i godzi, ponieważ protagonistą Nadziei nie jestem ja, skupiony na moim ego, wyłącznie na sobie, ale sekretem Nadziei jesteśmy my.

I dlatego siostrami Nadziei są Miłość, Wiara i Transcendencja.

3. NADZIEJA JAKO FUNDAMENT MISJI

3.1 Nadzieja wiąże się z odpowiedzialnością

Nadzieja jest darem i jako taka musi być przekazywana każdemu, kogo spotkamy na swojej drodze.

Św. Piotr mówi jasno: „Bądźcie zawsze gotowi do obrony wobec każdego, kto domaga się od was uzasadnienia tej nadziei, która w was jest” [\[10\]](#). Zachęca nas, abyśmy się nie bali, abyśmy

codziennie podejmowali działania, uzasadniając tę nadzieję, która w nas jest – ileż salezjańskiego ducha możemy tutaj znaleźć! Łączy się z tym odpowiedzialność chrześcijanina. To widać, czy jesteśmy kobietami i mężczyznami nadziei.

„Uzasadnianie nadziei, która jest w nas” staje się głosem „Dobrej Nowiny”.

Ale dlaczego konieczne jest odpowiadanie każdemu, kto chce uzasadnienia nadziei w nas? I dlaczego odczuwamy potrzebę odzyskania nadziei?

W Bulli ogłaszającej Jubileusz *Spes non confundit* papież Franciszek przypomina, że „wszyscy, w rzeczywistości, potrzebują odzyskać radość życia, ponieważ istota ludzka, stworzona na obraz i podobieństwo Boga, nie może zadowolić się przetrwaniem lub wegetacją, dostosowaniem się do teraźniejszości, pozwalając zadowolić się jedynie rzeczywistością materialną. To zamyka w indywidualizmie i niszczy nadzieję, rodząc smutek, który zagnieżdża się w sercu, czyniąc ludzi zgorzkniałymi i niecierpliwymi” [\[11\]](#).

Jest to znamienne spostrzeżenie, ponieważ wyraża cały ten smutek, którego doświadczamy w naszych społeczeństwach i wspólnotach. Jest to smutek przykryty fałszywą radością, którą nieustannie propagują, obiecują i zapewniają nam media, reklama, propaganda polityczna, którą głoszą fałszywi prorocy dobrobytu. Nasycenie się dobrobytem uniemożliwia nam otwarcie się na o wiele większe, o wiele prawdziwsze dobro, bo wieczne: to, które Jezus i apostołowie nazywają „zbawieniem duszy, zbawieniem życia”; Jezus zachęca nas, byśmy wybrali to dobro, nie bojąc się utraty życia, dóbr materialnych, fałszywego poczucia bezpieczeństwa, które często w jednej chwili może runąć.

I w odniesieniu do tych „pytań”, w mniejszym lub większym stopniu wyrażonych (także przez młodych ludzi), naszym zadaniem jest „uzasadnienie naszej nadziei”. Czego życzę

młodym ludziom i wszystkim, których spotykam na swojej drodze? O co chciałbym prosić Boga dla nich? Jakiej zmiany życia chciałbym dla nich od Niego?

Ostatecznie istnieje tylko jedna odpowiedź: *życie wieczne*. Nie tylko życie wieczne jako wysublimowany stan, który możemy osiągnąć po śmierci, ale życie wieczne jako możliwe tu i teraz, życie wieczne w takim sensie, jak je definiuje Jezus: „A to jest życie wieczne: aby znali Ciebie, jedynego prawdziwego Boga, oraz Tego, którego posłałeś, Jezusa Chrystusa” [\[12\]](#), to znaczy życie dobrze zdefiniowane, oświecone przez komunie z Chrystusem, a przez Niego – z Ojcem.

Naszym zadaniem jest towarzyszenie młodym ludziom na tej drodze do życia wiecznego, czyniąc to poprzez działania wychowawcze, które nas cechują. Działania, które dla nas, Rodziny Salezjańskiej, stanowią misję. A co jest siłą napędową tej naszej misji? Zawsze będzie nią Chrystus, nasza nadzieja.

Istotnie, w centrum misji wychowawczej znajduje się nadzieja.

Ostatecznie Boża nadzieja nigdy nie jest nadzieją samą w sobie. Zawsze jest nadzieją dla innych: nie oddziela nas, ale czyni nas solidarnymi i zachęca do wzajemnego wychowywania się w prawdzie i miłości.

3.2 Nadzieja wymaga odwagi od wspólnoty chrześcijańskiej

Odwaga i nadzieja to ciekawe połączenie. Bo choć prawdą jest, że nie można nie mieć nadziei, to równie prawdziwe jest to, że do tego, aby mieć nadzieję, potrzebna jest odwaga. Odwaga łączy się zajęciem postawy samego Chrystusa, mając nadzieję wbrew wszelkiej nadziei [\[13\]](#); widząc rozwiązanie nawet tam, gdzie wydaje się, że nie ma wyjścia. Jakże ta postawa jest „salezjańska”!

Wszystko to wymaga odwagi bycia sobą, utożsamienia się z tym

darem Boga i podjęcia konkretnej odpowiedzialności. Potrzeba świadomości, że to, co zostało nam powierzone, nie jest nasze, a naszym zadaniem jest przekazanie tego następnym pokoleniom. Takie jest serce Boga, takie jest życie Kościoła.

Taka była również postawa uczestników Pierwszej Salezjańskiej Wyprawy Misyjnej.

Wydaje mi się tutaj bardzo użyteczne przywołanie artykułu 34 Konstytucji Salezjańskich, bo ten podkreśla właśnie to, co leży u podstaw naszego charyzmatycznego i apostołskiego ruchu. Sugeruję przy tym, aby każda z grup naszej dynamicznej i pięknej Rodziny uczyniła przedmiotem refleksji te same elementy, które tutaj proponuję, wczytując się na nowo w swoje Konstytucje i Statuty.

Artykuł, o którym mowa, nosi tytuł: „Ewangelizacja i katecheza”, a jego treść jest następująca:

«„Towarzystwo to u swego początku było zwykłym katechizmem”. Również i dla nas ewangelizacja i katecheza stanowią podstawowy wymiar naszego posłannictwa.

Podobnie, jak Ksiądz Bosko, jesteśmy wszyscy powołani i to w każdej okoliczności, aby wychowywać do wiary. Naszą najszczytniejszą wiedzą jest zatem poznanie Jezusa Chrystusa, a największą radością głoszenie wszystkim niezgłębionych bogactw jego tajemnicy.

Idziemy razem z młodymi, prowadząc ich ku osobie Chrystusa Zmartwychwstałego, aby, odkrywając w Nim i w jego Ewangelii ostateczny sens swego istnienia, wzrastali jako ludzie nowi.

W tej drodze Najświętsza Maryja Panna jest z nami obecna jako Matka. Uczmy się poznawać Ją i kochać, jako Tę, która uwierzyła, która wspomaga i budzi nadzieję».

Ten artykuł wskazuje wyraźnie, o czym również mówi ta Wiązanka, jakie siły i możliwości wiążą się ze spełnieniem i

realizacją tego „snu o zasięgu globalnym”, którym Bóg zainspirował Księdza Bosko.

Jeśli z przeżywaniem tego Jubileuszu łączy się cel, jak jest umieszczenie Jezusa w centrum i przywrócenie Go na pierwsze miejsce, to duch misyjny stanowi konsekwencję tego słusznego prymatu, który umacnia naszą nadzieję i przekłada się na miłość wychowawczą i duszpasterską, która sprawia, że Jezus Chrystus jest głoszony wszystkim. To jest istota ewangelizacji i sedno prawdziwego posłannictwa.

Warto w tym miejscu przytoczyć słowa rozpoczynające pierwszą encyklikę Benedykta XVI *Deus caritas est*:

„U początku bycia chrześcijaninem nie ma decyzji etycznej czy jakiejś wielkiej idei, jest natomiast spotkanie z wydarzeniem, z Osobą, która nadaje życiu nową perspektywę, a tym samym decydujące ukierunkowanie”[\[14\]](#).

Tak więc priorytetowe i fundamentalne jest tutaj spotkanie z Chrystusem; nie tylko „zwykłe” rozpowszechnianie nauki, ale głębokie osobiste doświadczenie Boga, które popycha do głoszenia Go, poznawania i doświadczenia, czyniąc nas prawdziwymi „mistagogami” życia młodych ludzi.

3.3 «*Da mihi animas*»: „duch” misji

Księdzu Bosko zawsze towarzyszyło motto, które młodzi ludzie mogli przeczytać, gdy przechodzili obok jego pokoju, a które zrobiło szczególne wrażenie na Dominiku Savio: „Da mihi animas cetera tolle”.

Można zauważyć w tych słowach pewną równowagę, która łączy ze sobą dwa priorytety, które kierowały życiem Księdza Bosko, a które wpisują się w to, co zwykliśmy określać jako „łaskę jedności”. Pozwalają one uczynić stałym przedmiotem troski nasze życie wewnętrzne i działanie apostolskie.

Jeśli w sercu brakuje miłości Boga, jak może istnieć prawdziwa

miłość duszpasterska? A jednocześnie, jeśli apostoł nie odkrył oblicza Boga w swoim bliźnim, jak może powiedzieć, że kocha Boga?

Charakterystyczne dla Księdza Bosko było to, że osobiście przeżywał swoje życie w jednym i tym samym „nurcie miłości Boga i braci” [\[15\]](#), który charakteryzuje ducha salezjańskiego.

3.3.1 Postawa wysłanego

W dwóch snach, kluczowych dla życia Księdza Bosko, wyraźnie widoczna jest postawa apostoła, a więc tego, który został posłany:

- „sen z dziewiątego roku życia”, w którym Jezus i Maryja proszą Janka, aby stał się pokorny, silny i wytrzymały, czyniąc to poprzez posłuszeństwo i naukę, zalecając mu stałe czynienie dobra, by mógł zdobyć serca młodych ludzi, mając zawsze Maryję jako swoją nauczycielkę i przewodniczkę;
- „sen o różanej altanie”, wskazujący na „pasję” w życiu salezjańskim, która wymaga „dobrych butów” umartwienia i miłości.

3.3.2 Okazać wdzięczność, przemyśleć i odnowić

Obchody 150. rocznicy Pierwszej Wyprawy Misyjnej, wysłanej przez Księdza Bosko, to wspaniały dar i okazja, aby:

- ***Okazać wdzięczność i podziękować Bogu.***

Wdzięczność wyraźnie wskazuje na ojca każdego pięknego dokonania. Bez wdzięczności nie ma zdolności do przyjmowania. Ilekroć nie rozpoznajemy daru w naszym życiu osobistym i instytucjonalnym, grozi nam poważne niebezpieczeństwo jego

zniweczenia i „przywłaszczania go”.

▪ **Przemyśleć**, ponieważ „*nic nie jest na zawsze*”.

Wierność łączy się ze zdolnością do posłusznego wprowadzenia zmiany w kontekście wizji, która pochodzi od Boga i wynika z odczytywania „znaków czasu”. Nic nie jest na zawsze: z osobistego i instytucjonalnego punktu widzenia prawdziwa wierność to zdolność do zmiany, połączona z rozpoznaniem tego, do czego Pan wzywa każdego z nas.

Owo przemyślenie staje się zatem aktem twórczym, w którym wiara i życie łączą się ze sobą; momentem, w którym zadajemy sobie pytanie: co chcesz nam powiedzieć Panie poprzez tę osobę, tę sytuację w świetle znaków czasu, które, aby mogły zostać odczytane, wymagają Bożego serca?

▪ **Odnowić**, zaczynać od nowa każdego dnia.

Wdzięczność pozwala patrzeć daleko w przyszłość i podejmować nowe wyzwania, wznowić misję z nadzieją. Misją tą jest niesienie nadziei Chrystusa z jasną i przejrzystą świadomością, która w połączeniu z wiarą pozwala uznać, że to, co widzę i czego doświadczam, „nie jest moje”.

4. NADZIEJA JUBILEUSZOWA I MISYJNA PRZEKŁADA SIĘ NA KONKRETNE I CODZIENNE ŻYCIE

4.1 Nadzieja jest siłą w

codziennosci, która wymaga świadectwa

Św. Tomasz z Akwinu pisze: „Spes introducit ad caritatem” [\[16\]](#), nadzieja przygotowuje i usposabia nasze życie, nasze człowieczeństwo, do miłości. Miłości, która jest także sprawiedliwością, działaniem społecznym.

Nadzieja potrzebuje świadectwa. Mamy tu do czynienia z istotą misji, ponieważ misja nie polega przede wszystkim na robieniu rzeczy, ale na świadectwie kogoś, kto miał udział w danym doświadczeniu i dzieli się nim. Świadek jest nosicielem pamięci, pobudza do pytań tego, kogo spotka, wywołuje zdumienie.

Świadectwo nadziei wymaga wspólnoty, jest dziełem zbiorowym i jest „zaraźliwe”, jak „zaraźliwe” jest nasze człowieczeństwo, ponieważ świadectwo oznacza więź z Panem.

Nadzieja w kontekście świadectwa misji powinna być przekazywana z pokolenia na pokolenie, przez ludzi dorosłych ludziom młodym: to jest droga przyszłości. W naszej kulturze konsumpcjonizm pożera przyszłość, ideologia konsumpcji domaga się wszystkiego „tu i teraz” i „wszystkiego naraz”. Nie możesz jednak skonsumować przyszłości, nie możesz przywłaszczyć sobie tego, co jest inne niż ty, nie możesz przywłaszczyć sobie drugiego [\[17\]](#).

W kontekście budowania przyszłości nadzieja to zdolność do składania i dotrzymywania przyrzeczeń... coś wspaniałego i rzadkiego w naszym świecie. Przyrzec to znaczy mieć nadzieję, wprawić coś w ruch, dlatego też – jak już powiedzieliśmy – nadzieja jest drogą, jest samą energią drogi.

4.2 Nadzieja to sztuka cierpliwości

i oczekiwania

Każde życie, każdy dar, wszystko potrzebuje czasu, aby wzrastać. Również dary Boże wymagają czasu, aby dojrzeć. Dlatego w naszej epoce, w której chce się wszystko i zaraz, w naszym świecie „konsumpcji” czasu i życia, zachodzi wymóg, abyśmy dopuścili do głosu cierpliwość w jej wytchnieniu i sile, ponieważ nadzieja urzeczywistnia się w cierpliwości [\[18\]](#). Nadzieja i cierpliwość są ze sobą ściśle powiązane.

Nadzieja wiąże się z umiejętnością czekania, czekania na rozwój; można powiedzieć, że „jedna cnota pociąga drugą”!

Aby nadzieja stała się rzeczywistością, aby ukazała się w pełnej postaci, potrzebna jest cierpliwość. Nic nie pojawia się w cudowny sposób, ponieważ wszystko podlega prawu czasu. Przykładem cierpliwości jest praca rolnika, który siewa i umie czekać, aż zasiane ziarno wyrośnie i wyda owoce.

Nadzieja zaczyna się w nas od oczekiwania, które następnie jest świadomie przeżywane na poziomie naszego człowieczeństwa. Oczekiwanie jest bardzo ważnym wymiarem ludzkiego doświadczenia. Człowiek umie czekać, człowiek zawsze znajduje się w stanie oczekiwania, ponieważ jest istotą, która świadomie żyje w czasie.

Ludzkie czekanie jest prawdziwą miarą czasu, miarą, która nie wyraża się w liczbach, nie jest chronologiczna. Przyzwyczailiśmy się do obliczania czasu oczekiwania, mówimy, że czekaliśmy godzinę, że pociąg spóźnił się pięć minut, że Internet kazał nam niesamowicie długo czekać, bo aż czternaście sekund, zanim odpowiedział na nasze kliknięcie; gdy odmierzamy w ten sposób, zniekształcamy to nasze czekanie, czynimy z niego rzecz, zjawisko oderwane od nas samych i od tego, na co czekamy. To tak, jakby czekanie było czymś samym w sobie, będąc niezwiązane z niczym. A przecież oczekiwanie, co jest bardzo istotne, jest relacją, więcej, jest wymiarem tajemnicy relacji.

Tylko ten, kto ma nadzieję, ma cierpliwość. Tylko ten, kto ma nadzieję, jest zdolny do „znoszenia”, do „stawienia czoła” różnym sytuacjom, jakie niesie życie. Ten, kto jest w stanie wytrzymać, czeka, ma nadzieję i jest w stanie znieść wszystko, ponieważ jego trud związany z oczekiwaniem, posiada odpowiednie napięcie oczekiwania, energię oczekiwania znaczoną miłością.

Wiemy, że wezwanie do cierpliwości i oczekiwania czasami wiąże się z doświadczeniem zmęczenia, trudu, bólu i śmierci[\[19\]](#). Cóż, zmęczenie, ból i śmierć obnażają iluzję posiadania czasu, znaczenia czasu, wartości czasu, znaczenia i wartości naszego życia. Są to negatywne doświadczenia, ale też i pozytywne, ponieważ zmęczenie, ból i śmierć mogą być okazją do ponownego odkrycia prawdziwego znaczenia czasu w życiu.

Powtórzmy raz jeszcze, musimy być gotowi do „uzasadnienia tej nadziei, która jest w nas”, stając się głosicielami Ewangelii – Dobrej Nowiny o Jezusie Chrystusie.

5. ŹRÓDŁO NASZEJ NADZIEI: W BOGU Z KSIĘDZEM BOSKO

Ks. Egidio Viganò zaproponował Zgromadzeniu i Rodzinie Salezjańskiej interesującą refleksję na temat nadziei, odwołując się do naszej bardzo bogatej tradycji i podkreślając niektóre specyficzne cechy ducha salezjańskiego odczytywane w świetle tej cnoty teologicznej. W sposób szczególny uczynił to, komentując sen Księdza Bosko o dziesięciu diamentach w czasie Kapituły Generalnej Córek Maryi Wspomożycielki[\[20\]](#).

Biorąc pod uwagę głębię proponowanych myśli, myślę, że warto przywołać te treści autorstwa siódmego następcy Księdza Bosko, aby przypomnieć nam wszystkim, czym powinniśmy żyć, czyniąc to zawsze w perspektywie nadziei.

5.1 Bóg jest źródłem naszej nadziei

5.1.1 Krótkie przypomnienie snu

Wszyscy znają opis tego niezwykłego snu, który ks. Bosko miał w San Benigno Canavese w nocy z 10 na 11 września 1881 roku. Przytoczę jego streszczenie[\[21\]](#).

Sen obejmuje trzy sceny. W pierwszej pojawiająca się Postać przedstawia sylwetkę salezjanina. Na przedniej części jego płaszcza widnieje pięć diamentów; trzy na piersiach z napisami: „Wiara”, „Nadzieja” i „Miłość”, a dwa na plecach z napisami: „Praca” i „Wstrzemięźliwość”. Pozostałych pięć diamentów widniało z tyłu i nosiło napisy: „Posłuszeństwo”, „Ubóstwo”, „Nagroda”, „Czystość” i „Post”.

Ks. Rinaldi określa tę dostojną postać z dziesięcioma diamentami „wzorem prawdziwego salezjanina”.

W drugiej scenie zewnętrzny wygląd tej dostojnej Postaci uległ zmianie: jej płaszcz wypłowiał, został zaatakowany przez robactwo i uległ podarciu. W miejscu, gdzie przedtem były diamenty, pojawiły się głębokie dziury, spowodowane przez kornika i inne robactwo.

Ta bardzo smutna i przygnębiająca scena ukazuje „zaprzeczenie prawdziwego salezjanina”, czyli antysalezjanina.

W trzeciej scenie pojawia się „przystojny młodzieniec, ubrany w białą szatę wyszywaną złotymi i srebrnymi nićmi, o wyglądzie majestatycznym, lecz zarazem łagodnym i miłym”. Przekazuje on pewne przesłanie. Zachęca salezjanów do „słuchania”, „rozumienia”, „dzielności”, „bycia mocnymi i odważnymi”, „dawania świadectwa słowem i życiem”, „do przezorności w przyjmowaniu i kształtowaniu nowych powołań” oraz „do przyczyniania się do zdrowego wzrostu ich Zgromadzenia”.

Te trzy sceny snu są pełne życia i dynamizmu, przedstawiając

osobową i dramatyczną syntezę duchowości salezjańskiej. Treść snu stanowi z pewnością, zgodnie z założeniami ks. Bosko, ważny punkt odniesienia dla naszej tożsamości powołaniowej.

Jak pamiętamy, Postać z tego snu ma na przodzie diament z napisem „Nadzieja”, co ma oznaczać pewność pomocy z Góry w kontekście w pełni twórczego życia, tj. życia ukierunkowanego na praktyczne działania, których celem jest zbawienie, zwłaszcza ludzi młodych. Wraz z innymi symbolami łączącymi się z cnotami teologalnymi wyłania się sylwetka osoby mądrej, o optymistycznym nastawieniu dzięki wierze, która ją ożywia, dynamicznej i twórczej dzięki nadziei, która ją porusza, zawsze trwającej w postawie modlitwy i po ludzku dobrej dzięki miłości, która ją przenika.

Diamentowi z napisem „Nadzieja” odpowiada znajdujący się z tyłu płaszcz diament z napisem „Nagroda”. Jeśli nadzieja wyraźnie oznacza dynamizm i aktywność salezjanina w budowaniu Królestwa, gdzie stałość jego wysiłków i entuzjazm jego zaangażowania znajdują swoje oparcie w niezawodnej pomocy Boga, uobecnianego dzięki pośrednictwu i wstawiennictwu Chrystusa i Maryi, to diament „Nagroda” podkreśla raczej stałą postawę świadomości, jaka przepaja i ożywia cały wysiłek ascetyczny, zgodnie ze znaną dewizą Księdza Bosko: „Kawałek Raju wynagrodzi wszystko!”[\[22\]](#).

5.1.2 Ksiądz Bosko „ołbrzymem” nadziei

Salezjanin, jak mówił Ksiądz Bosko, „jest gotów znosić upały i chłody, pragnienie i głód, trudy i zniewagi, ilekroć chodzi o chwałę Bożą i zbawienie dusz”[\[23\]](#); a wewnętrznym wsparciem dla tego wymagającego usposobienia ascetycznego jest myśl o raju, będąca odzwierciedleniem dobrego sumienia, z jakim salezjanin pracuje i żyje. „W każdym naszym zajęciu, w każdej naszej pracy, trudzie czy niepowodzeniu, nie zapominajmy nigdy, że [...] On prowadzi rejestr każdej najdrobniejszej rzeczy wykonanej dla Jego świętego imienia i jest prawdą wiary, że w swoim czasie wynagrodzi nas z całą hojnością. Przy końcu

naszego życia, kiedy staniemy przed Jego Boskim trybunałem, spoglądając na nas z miłością powie nam: „Dobrze, słuگو dobry i wierny, byłeś wierny w niewielu rzeczach, nad wieloma cię postawię; wejdź do radości twego Pana” (Mt 25, 21) [\[24\]](#). „W trudach i cierpieniach nie zapominajmy nigdy, że mamy przygotowaną wielką nagrodę w niebie” [\[25\]](#). A kiedy nasz Ojciec mówi, że salezjanin wycieńczony z powodu zbytnej pracy oznacza zwycięstwo *dla całego Zgromadzenia*, wydaje się sugerować wprost wymiar bratersko-wspólnotowy nagrody, niejako wspólnotowy zmysł Nieba!

Myśl i stałe przeświadczenie o osiągnięciu nieba jest jedną z nadrzędnych idei i jedną z napędowych wartości duchowości i pedagogii Księdza Bosko. Jest jakby rzuceniem snopu światła i pogłębieniem podstawowego instynktu duszy, która z natury dąży do właściwego celu ostatecznego.

W świecie podlegającym sekularyzacji i postępującemu zatraceniu poczucia Boga – zwłaszcza z powodu dobrobytu i znacznego postępu – ważne jest, gdy chodzi o nas i młodych ludzi, którym towarzyszymy, aby oprzeć się pokusie, która uniemożliwia nam skierowanie wzroku ku Niebu oraz nie widzi potrzeby wspierania i podejmowania zaangażowania na polu ascezy w naszej codziennej pracy. W jego miejsce wkracza coraz mocniej podejście doczesne, zgodnie z mniej lub bardziej eleganckim horyzontalizmem, który uważa, że jest w stanie odkryć ideał wszystkiego w samym ludzkim stawaniu się i w obecnym życiu. Wszystko to przeciwne jest nadziei!

Ksiądz Bosko był jednym z największych ludzi nadziei. Jest wiele elementów, które to potwierdzają. Jego salezjański duch jest przesiąknięty pewnością i aktywnością, które są charakterystyczne dla działania w Duchu Świętym.

Zatrzymam się na chwilę, aby przypomnieć, w jaki sposób Ksiądz Bosko umiał wykorzystać w swoim życiu energię nadziei, co czynił na dwa sposoby: zaangażowanie w osobiste uświęcenie oraz misja zbawienia innych, co można jeszcze lepiej wyrazić,

podkreślając główną cechę jego ducha: osobiste uświęcenie poprzez zbawienie innych. Przypomnijmy sobie w tym kontekście jego słynne pozdrowienie w formie trzech „S”: „Salve, salvando salvati” (*Witaj, zbawiając innych, zbawiasz siebie*)[\[26\]](#). Brzmi to jak mnemotechniczna gra słów, wyrażona bardzo prosto, czy jak slogan pedagogiczny, ale w gruncie rzeczy jest to wyrażenie bardzo głębokie, które pokazuje, że te dwie strony: osobiste uświęcenie i zbawienie bliźniego są ze sobą ściśle powiązane.

W kontekście tego dwumianu „praca” i „umiarkowanie” można zauważyć, że Ksiądz Bosko postrzegał nadzieję jako praktyczne i codzienne planowanie nieustannego dzieła uświęcenia i zbawienia. To jego wiara, połączona z kontemplacją tajemnicy Boga, kazała mu umieścić na uprzywilejowanym miejscu Jego niewypowiedziany plan zbawienia. W Chrystusie widzi Zbawiciela ludzkości i Pana historii; w Jego Matce, Maryi – Wspomożycielkę chrześcijan; w Kościele – wielki Sakrament zbawienia; we własnym chrześcijańskim dojrzewanu i w potrzebującej młodzieży – rozległe pole tego, czego „jeszcze nie ma”. Stąd to jego usilne wołanie: „Da mihi animas”, Panie, pozwól mi zbawić młodzież i zabierz resztę! Naśladowanie Chrystusa i misja na rzecz młodzieży znajdują połączenie w jego duchu, tak że możemy tutaj mówić o jednym dynamizmie teologicznym, który stanowi trzon całości.

Wiemy, że wymiar chrześcijańskiej nadziei łączy w sobie perspektywę tego, co „już” jest i tego, co „jeszcze nie ma”: coś teraźniejszego i coś, co jest w trakcie powstawania, a co jednak już teraz zaczyna się objawiać, nawet jeśli tego „jeszcze nie ma” w pełni.

5.1.3 Cechy nadziei w Księdzu Bosko

Pewność co do tego, co „już” jest

Kiedy pytamy w kontekście teologii, co jest formalnym przedmiotem nadziei, otrzymujemy odpowiedź, że jest to

głębokie przekonanie o obecności Boga, który pomaga, wspiera i towarzyszy; wewnętrzna pewność co do mocy Ducha Świętego; przyjaźń z Chrystusem, który odniósł zwycięstwo, a która sprawia, że możemy powtórzyć za św. Pawłem: „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia” (Flp 4,13).

Tak więc pierwszą cechą nadziei jest pewność co do tego, co „już” jest. Nadzieja pobudza wiarę, by ta ćwiczyła się w przyjmowaniu zbawczej obecności Boga w ludzkich losach, mocy Ducha w Kościele i w świecie, królowania Chrystusa nad historią, owoców chrztu, które zapoczątkowały w nas życie zmartwychwstania.

Zasadnicze jest tutaj wzrastanie w wierze, gdy chodzi o istnienie Boga jako miłosiernego i zbawiającego Ojca; w to, co Jezus Chrystus już dla nas uczynił; w Pięćdziesiątnicę jako początek ery Ducha Świętego; w to, co już dokonało się w nas przez chrzest, przez sakramenty, przez życie w Kościele, przez osobiste wezwanie związane z naszym powołaniem.

Musimy uświadomić sobie, że wiara i nadzieja w nas się przeplatają, ich dynamiki wzajemnie się stymulują i uzupełniają, sprawiając, że żyjemy w twórczym i transcendentnym klimacie mocy Ducha Świętego.

Wyraźna świadomość tego, czego „jeszcze nie ma”

Drugą cechą nadziei jest świadomość tego, „czego jeszcze nie ma”. Nie wydaje się, aby było to bardzo trudne, jednak nadzieja wymaga wyraźnej świadomości nie tyle co do tego, co jest złe i niesprawiedliwe, ale także co do tego, co uwłacza Chrystusowi w obecnym czasie, a zatem co jest niesprawiedliwe i grzeszne, a także niedojrzałe, częściowe i wątpliwe w budowaniu Królestwa.

Zakłada to, jako punkt odniesienia, dobrą znajomość Bożego planu zbawienia, by mógł podejść krytycznie i dokonać właściwego rozeznania ten, kto żywi nadzieję. W ten sposób podejście krytyczne człowieka nadziei nie jest po prostu

psychologiczne czy socjologiczne, ale transcendentne, zgodnie z teologiczną koncepcją „nowego stworzenia”; to wykorzystuje również dorobek nauk humanistycznych, znacznie go przewyższając.

Mając świadomość tego, czego „jeszcze nie ma”, ten, kto żywi nadzieję, dostrzega to, co złe, co jeszcze nie dojrzało, i co jest dobrym ziarnem w budowaniu Królestwa Bożego, starając się, aby to dobro wzrastało i stawiało czoła grzechowi z Chrystusowej perspektywy. Tej zdolności czekania na to, czego „jeszcze nie ma”, towarzyszy zawsze pewność co do tego, co „już jest”. Tak więc, a zwłaszcza zachodzi to w trudnych czasach, ten, kto ma nadzieję, jest w stanie dzięki swojej wierze odkrywać znaki Bożej obecności i Bożego pośrednictwa na wyznaczonym przez Niego horyzoncie. Jest to bardzo ważne w dzisiejszych czasach: umieć rozeznaczyć ziarna, aby pomóc im wykiełkować i wzrastać.

Aktywność zbawcza

Trzecia cecha nadziei to wymóg aktywności, któremu towarzyszą konkretne zaangażowanie w uświęcenie oraz apostołskie działanie i poświęcenie. Trzeba współpracować z tym, co „już jest” w fazie rozwoju; trzeba podjąć walkę ze złem w nas samych i w innych, zwłaszcza w odniesieniu do potrzebującej młodzieży.

Rozeznawanie, w odniesieniu do tego, co „już jest”, i do tego, co „jeszcze nie ma”, musi znaleźć praktyczne przełożenie w życiu, co łączy się z postanowieniami, rewizjami, inwencjami, cierpliwością i wytrwałością. Nie wszystko potoczy się tak, „jak się tego spodziewaliśmy”: będą porażki, niepowodzenia, upadki, nieporozumienia. Nadzieja chrześcijańska ze swej natury doświadcza również mroków wiary.

5.1.4 „Owoce” nadziei w Księdzu Bosko

Z powyższymi cechami nadziei, które dopiero co wskazałem,

łączą się pewne owoce, które były szczególnie znaczące dla salezjańskiego ducha Księdza Bosko.

Radość

Z tą pierwszą cechą – pewnością co do tego, co „już jest” – łączy się, jako jej owoc najbardziej charakterystyczny, *radość*. Każda prawdziwa nadzieja znajduje wyraz w radości.

Duch salezjański przyjmuje radość nadziei, bo jest mu bardzo bliska. Nawet biologia podsuwa nam pewne przykłady w tym względzie. Młodość, która stoi pod znakiem ludzkiej nadziei (co w jakiś sposób stanowi nawiązanie do tajemnicy chrześcijańskiej nadziei), jest żądną radości. I widzimy, jak w przypadku Księdza Bosko ta nadzieja znalazła przełożenie na klimat radości w odniesieniu do młodzieży, która ma być zbawiona. Dominik Savio, który dorastał w jego szkole, mawiał: „Świętość polega na byciu zawsze radosnym”. Nie chodzi tu o powierzchowną wesołkowatość typową dla świata, ale o wewnętrzną radość, która pomaga chrześcijaninowi osiągnąć zwycięstwo, o żywotną harmonię z nadzieją, która znajduje wyraz w wielkiej radości. Radości, która ostatecznie wypływa z głębi wiary i nadziei.

Tak to już jest. Jeśli jesteśmy smutni, to często dlatego, że jesteśmy powierzchowni. Oczywiście, istnieje chrześcijański smutek: Jezus Chrystus sam go doświadczył. W Getsemani Jego dusza była smutna aż do śmierci, pocił się krwią. Z pewnością jest to inny rodzaj smutku.

Jednakże smutek lub melancholia, gdzie jakaś siostra ma wrażenie, że nikt ją nie rozumie, że inne siostry ją lekceważą, zazdroszczą jej lub nie dostrzegają jej zdolności itd., jest smutkiem, którego nie należy podtrzymywać. Należy mu przeciwstawić głębię nadziei: Bóg jest ze mną i kocha mnie, jakie to ma znaczenie, że inni mnie za bardzo nie poważają?

Radość, w duchu salezjańskim, to klimat codzienności; wypływa z wiary, która bazuje na nadziei, i z nadziei, która bazuje na

wierze, to znaczy wypływa z mocy działania Ducha Świętego, który w nas odnosi zwycięstwo, triumfując nad światem! Radość jest nieodzowna, jeśli chcemy dawać prawdziwe świadectwo o tym, w co wierzymy i w czym pokładamy nadzieję.

I duch salezjański to właśnie oznacza, a nie sprowadza się do zwykłej obserwacji i umartwień. Nadzieja pociąga za sobą wprawdzie liczne umartwienia, ale dzieje się to niejako w ramach „lotu szkoleniowego”, a nie oznacza więziennych katuszy! Tak więc z nadziei płynie wiele radości!

Świat próbuje przezwyciężyć swoją ograniczoność i dezorientację życiem wypełnionym ekscytującymi doznaniem. Stara się pobudzać i zaspakajać zmysły, podsuwając ostry film, erotyzm, narkotyki itd. Jest to sposób na ucieczkę od doczesnej sytuacji, która wydaje się bezsensowna, by szukać czegoś, co graniczy z „karykaturą transcendencji”.

Cierpliwość

Kolejnym „owocem” nadziei – który łączy się ze świadomością tego, czego „jeszcze nie ma” – jest *cierpliwość*. Wszelka nadzieja pociąga za sobą nieodzowny ładunek cierpliwości. Bycie cierpliwym to postawa chrześcijańska, nierozzerwalnie związana z nadzieją w kontekście nie tak krótkiego oczekiwania na to „czego jeszcze nie ma”, z wszelkimi związanymi z tym problemami, trudnościami i mrokami. Wiara w zmartwychwstanie i praca, by ostatecznie ta wiara odniosła triumf, gdy się jest śmiertelnym i zanurzonym w tym, co przemijające, wymaga wewnętrznej struktury nadziei, która prowadzi do cierpliwości.

Tej chrześcijańskiej cierpliwości w najwyższym stopniu doświadczył Jezus, w sposób szczególny w czasie swojej męki i śmierci. Jest to cierpliwość owocna, właśnie ze względu na nadzieję, która ją ożywia. W przypadku cierpliwości nie tyle chodzi o inicjatywy i działania, ile o świadomą akceptację i cnotliwą pasywność, by umożliwić realizację planu Bożego.

Salezjański duch Księdza Bosko często przypomina nam o

cierpliwości. We wstępie do Konstytucji Ksiądz Bosko przypomina nam, nawiązując do słów św. Pawła, że cierpienia, które musimy znosić w tym życiu, nie mają porównania z nagrodą, która nas czeka: «Mawiał: „Odwagi! Nadzieja podtrzymuje nas, gdy cierpliwość zawodzi”; „Tym, co podtrzymuje cierpliwość, musi być nadzieja na nagrodę”»[\[27\]](#).

Matka Mazzarello również kładła na to nacisk. Jeden z jej pierwszych biografów, Maccono, stwierdza, że nadzieja zawsze niosła jej pociechę, podtrzymywała ją w cierpieniach, słabościach, wątpliwościach i dodawała otuchy w godzinie śmierci: „Jej nadzieja była bardzo żywa i wyrażała się w aktywności. Wydaje mi się – zeznała jedna z sióstr – że nadzieja ożywiała ją we wszystkim, a ona sama starała się zaszczerpić ją innym siostram. Napominała nas, byśmy dobrze znosiły nasze małe codzienne krzyże i czyniły wszystko z wielką i czystą intencją”[\[28\]](#).

Nadzieja jest matką cierpliwości, a cierpliwość stanowi narzędzie obrony i tarczę nadziei.

Wrażliwość wychowawcza

Trzecia cecha nadziei – „aktywność zbawcza” – wydaje trzeci owoc, jakim jest *wrażliwość wychowawcza*. Łączy się ona z odpowiednim zaangażowaniem, zarówno na polu własnego uświęcenia (naśladowanie Chrystusa), jak i zbawienia innych (misja). Mowa tu o praktycznym, wyważonym i stałym zaangażowaniu, które Ksiądz Bosko przełożył na konkretną metodę, na którą składają się następujące elementy:

- *Roztropność* (święta „przebiegłość”). Jeśli chodzi o podjęcie inicjatywy, rozwiązywanie problemów, Ksiądz Bosko odwołuje się do niej w całej rozciągłości, nie szuka przy tym perfekcjonizmu, podchodzi do wszystkiego z pokorą i w praktyczny sposób. Wielokrotnie powtarzał zdanie: „Doskonałe jest wrogiem dobrego”[\[29\]](#).
- *Odwaga*. Zło jest zorganizowane, synowie ciemności

działają inteligentnie. Ewangelia mówi nam, że dzieci światłości muszą być bardziej przebiegłe i odważne. Dlatego, aby działać w świecie, musimy uzbroić się w prawdziwą roztropność, ową „auriga virtutum”, która czyni nas bystrzymi, na czasie i przenikliwymi w nieustraszone czynieniu dobra.

- **Wielkoduszność.** Nie wolno nam ograniczyć się do ścian naszych domów. Zostaliśmy powołani przez Pana, aby zbawić świat, tak więc mamy ważniejszą misję historyczną do spełnienia niż astronauta czy ludzie nauki... Jesteśmy zaangażowani w integralne wyzwolenie człowieka. Nasze dusze muszą być otwarte na bardzo szerokie perspektywy. Ksiądz Bosko chciał, abyśmy byli „w awangardzie postępu” (gdy to mówił, chodziło mu o środki komunikacji społecznej).

Znamy wielkoduszność Księdza Bosko, gdy chodzi o wprowadzanie młodych ludzi w obowiązki apostołskie; możemy w tym miejscu przywołać chociażby przykład związany z pierwszymi misjonarzami, którzy wyjechali do Ameryki. Zarówno salezjanie, jak i córki Maryi Wspomożycielki byli wtedy ludźmi bardzo młodymi, chłopcami i dziewczętami!

Ksiądz Bosko poruszał się po rozległych horyzontach. Nie wystarczały mu jedynie Valdocco i Mornese; nie mógł się ograniczyć tylko do granic Turynu, Piemontu, Włoch czy Europy. Jego serce biło w harmonii z sercem Kościoła powszechnego, ponieważ czuł się niemal obarczony odpowiedzialnością za zbawienie całej potrzebującej młodzieży świata. Chciał, aby salezjanie czuli, że wszystkie największe i najpilniejsze problemy młodzieży w Kościele są ich własnymi, będąc dostępni wszędzie. I chociaż wykazywał wielkoduszność, gdy chodzi o podejmowane projekty czy inicjatywy, był konkretny i praktyczny w ich realizacji; zdawał sobie sprawę, że wszystko wymaga czasu i że początki będą skromne.

I właśnie na twarzy salezjanina powinna gościć, jako wyraz

sympatii, wielkoduszność. Ten nie może być lekkomyślną osobką, bez wizji, ale powinien mieć wielkiego ducha, ponieważ w jego sercu zamieszkuje nadzieja.

Péguy, w sposób nieco agresywny, napisał: „Kapitulacja jest w istocie operacją, gdzie szuka się wyjaśnień zamiast urzeczywistnienia. Tchórze zawsze byli ludźmi uciekającymi się do licznych wyjaśnień”. Salezjanin powinien być mistykiem w podejmowanych decyzjach i odznaczać się pokorną śmiałością w praktycznych działaniach. Ksiądz Bosko był zdecydowany w czynieniu dobra, nawet jeśli nie mógł czynić tego na początku w sposób doskonały; mawiał, że jego dzieła być może zaczęły się w nieładzie, ale potem dążyły do uporządkowania!

Nadzieja „rysuje” na twarzy salezjanina, obok głębokiej kontemplacji, radości Bożego synostwa, entuzjazmu znaczonego wdzięcznością i optymizmem (wypływającymi z „wiary”), także odwagę w podejmowaniu inicjatywy, ducha poświęcenia znaczonego cierpliwością, mądrość pedagogicznego gradualizmu, ideę wielkoduszności, skromność w praktycznym działaniu, roztropność i radosny uśmiech.

5.2 Wierność Boga: aż do końca

Do tej pory przyglądaliśmy się temu, co Ksiądz Bosko oraz nasi święci i błogosławieni jasno wyrazili w swoim życiu. To wszystko przynagla każdego z nas osobiście i całą Rodzinę Salezjańską – jak to stwierdził ks. Egidio Viganò – do wydobywania czy rozpalania tej nadziei, którą musimy „uzasadnić”, przede wszystkim wobec ludzi młodych, a wśród nich najuboższych.

Nadszedł czas, aby „zerknąć” nieco poza to, co jest „bezpośrednio widoczne”, starając się rozeznaczyć, co czeka nas w przyszłości i daje nam odwagę do aktywnego oczekiwania w czasie, gdy współpracujemy na rzecz nadejścia „dnia Pańskiego”.

Tak więc, wracając do refleksji, jaką przeprowadził siódmy następca Księdza Bosko, skupmy teraz naszą uwagę na perspektywie „nagrody”.

Diament „nagroda” jest umieszczony wraz z czterema innymi z tyłu płaszcza Postaci ze snu. Oznacza niemal tajemnicę, siłę działającą od wewnątrz, dającą nam impuls i pomagającą wspierać i bronić wielkich wartości widocznych z przodu. Warto zauważyć, że diament „nagroda” jest umieszczony poniżej diamentu „ubóstwo”, co z pewnością ma to jakiś związek z „wyrzeczeniami” z nim związanymi.

Z jego promieni wychodzą następujące słowa: „Jeśli urzeka was wielkość nagrody, niechaj nie trwożą was trudy jej zdobywania. Kto cierpi ze Mną, ze Mną będzie się radować. Cierpienia tego życia trwają chwilę; a szczęście, którym będą się cieszyć moi przyjaciele w Niebie, jest wieczne”.

Prawdziwy salezjanin ma w swojej wyobraźni, w swoim sercu, w swoich pragnieniach, na horyzoncie swojego życia, wizję nagrody jako pełnię wartości głoszonych przez Ewangelię. Z tego powodu „jest zawsze radosny. Szerzy tę radość, umie wychowywać do optymizmu życia chrześcijańskiego i kształtować zmysł pogodnego świętowania” [\[30\]](#).

W domu Księdza Bosko i w naszych domach salezjańskich wiele mówiło się o niebie. Była to idea stała i wszechobecna, streszczona w kilku słynnych powiedzeniach: „Chleb, praca i niebo” [\[31\]](#); „Kawałek nieba wszystko wynagrodzi” [\[32\]](#). Te zwroty często można było słyszeć na Valdocco i w Mornese.

Z pewnością wiele Córek Maryi Wspomożycielki pamięta opis ducha Mornese dokonany przez matkę Enrichettę Sorbone: „Tutaj jesteśmy w niebie, w domu panuje klimat nieba!” [\[33\]](#). I to z pewnością nie z powodu niedostatku czy braku problemów. To było jak spontaniczny przekład, płynący prosto z serca, napisu, który kazał umieścić ksiądz Bosko: „Servite Domino in laetitia” [\[34\]](#).

Dominik Savio również dostrzegał tę samą ciepłą i transcendentną atmosferę życia: „U nas świętość polega na byciu zawsze radosnym” [\[35\]](#).

W biografiach Dominika Savio, Franciszka Besucco i Michała Magone, Ksiądz Bosko nawet opisując ich umieranie, chętnie podkreśla niewymowną radość, która łączyła się z prawdziwą tęsknotą za niebem. W tym kontekście chłopców nie tyle przeraża groza śmierci, ile pociąga radość Wielkanocy.

Myśl o nagrodzie jest jednym z owoców zamieszkiwania Ducha Świętego, to znaczy intensywności wiary, nadziei i miłości, wszystkich trzech razem, nawet jeśli ta jest ściślej związana z nadzieją. Napełnia serce radością i pogodą ducha, które pochodzą z Góry i pozostają w pięknej harmonii z wrodzonymi skłonnościami ludzkiego serca. Możemy to zauważyć, przebywając wśród chłopców i dziewcząt: młodzież bardziej wyczuwa, że człowiek rodzi się po to, aby być szczęśliwym.

Ale nie musimy tego szukać wśród ludzi młodych. Wystarczy, jak weźmiemy lustro i spojrzymy na siebie czy posłuchamy bicia naszego serca. Urodziliśmy się, by osiągnąć szczęście, czekamy na nie, nawet się do tego nie przyznając.

Idea nieba, zawsze obecna w domu Księdza Bosko, nie jest utopią podszytą naiwnym oszustwem, nie jest przynętą, która nakłania konia do szybszego chodzenia, ale jest zasadniczym pragnieniem naszego istnienia, a przede wszystkim – rzeczywistością miłości Bożej, zmartwychwstania Jezusa Chrystusa działającego w historii; jest to żywa obecność Ducha Świętego, która popycha w istocie w kierunku nagrody.

Ksiądz Bosko nie gardzi żadną formą radości ludzi młodych. Wręcz przeciwnie, zachęca do niej, zwiększa, rozwija. Ta słynna „radość”, na której polega świętość, to nie tylko radość wewnętrzna, ukryta w sercu jako owoc łaski. Ta jest tutaj źródłem tej radości, która wyraża się również na zewnątrz, w codziennym życiu, na podwórku i w czasie

świętowania.

Jakże wielką wagę przywiązywał on do uroczystości religijnych, imienin i świąt obchodzonych w Oratorium! Zadbał nawet o zorganizowanie obchodów własnych imienin, czyniąc to nie z myślą o sobie, ale po to, aby wprowadzić w środowisko oratoryjne atmosferę radosnej wdzięczności.

Pomyślmy także o jego odważnych jesiennych przechadzkach. Na ich przygotowanie poświęcał od dwóch do trzech miesięcy. Te trwały od 15 do 20 dni, a po nich jeszcze długo miały miejsce wspomnienia i komentarze; tak więc była to radość niejako rozciągnięta w czasie. Co za wyobraźnia i odwaga! Z Turynu do Becchi, do Genui, do Mornese, do wielu miast w Piemencie, z dziesiątkami młodych ludzi... Spacer, gra, muzyka, śpiew, teatr – to istotne elementy Systemu Prewencyjnego, który również jako metoda wychowawcza zakłada odpowiednią i wyrażającą się w radości duchowość, owoc ugruntowanej wiary, nadziei i miłości, wartości niebieskich tutaj, na ziemi.

Na horyzoncie Valdocco zawsze pojawiało się, w dzień i w nocy, z chmurami czy bez chmur, Niebo. Bycie świadkiem wartości owej nagrody jawi się dziś jako pilne proroctwo dla świata, a zwłaszcza dla młodych ludzi. Co cywilizacja techniczno-przemysłowa wniosła do społeczeństwa konsumpcyjnego? Ogromne poczucie komfortu i przyjemności, a w konsekwencji ogromny smutek.

W Konstytucjach Salezjanów Księdza Bosko czytamy między innymi słowa – które właściwie odnoszą się do każdego chrześcijanina – że salezjanin jest „znakiem mocy zmartwychwstania” i że „w zwyczajności i trudzie codziennego życia” jest on „wychowawcą, który zwiastuje młodzieży ‘niebo nowe i ziemię nową’, pobudzając ją do zaangażowania i do weselenia się nadzieją” [\[36\]](#).

W Mornese i na Valdocco nie było ani komfortu, ani dyktatury, a wszystko tchnęło spontanicznością i radością. Postęp

techniczny ułatwił dziś wiele rzeczy, ale prawdziwa radość człowieka nie wzrosła. Zamiast tego zwiększyły się udręka, poczucie nudy, braku sensu, co znajduje potwierdzenie w tragicznych danych statystycznych dotyczących samobójstw nastolatków i młodzieży.

Dzisiaj, oprócz ubóstwa materialnego, które wciąż dotyka bardzo dużą część ludzkości, pilne staje się znalezienie takiego sposobu, który pomoże młodzieży znaleźć sens życia, wybrać wyższe ideały, Jezusa Chrystusa.

Człowiek poszukuje szczęścia, co jest podstawowym jego dążeniem, ale zatracił już właściwą drogę, więc rośnie w nim ogromne rozczarowanie.

Młodzi ludzie, również z powodu braku znaczących ludzi dorosłych, czują się niezdolni do radzenia sobie z cierpieniem, obowiązkiem i ciągłym zaangażowaniem. Problem wierności ideałom i własnemu powołaniu staje się tutaj kluczowy. Młodzi czują się niezdolni do podjęcia cierpienia i poświęcenia. Żyją w środowisku, w którym wybiera się rozwód zamiast miłości i poświęcenia, co ostatecznie sprawia, że samo dążenie i osiąganie dobrobytu kończy się unicestwieniem zdolności do kochania, a tym samym do marzeń w perspektywie przyszłości.

Tak więc słusznie, jak już powiedzieliśmy, diament „nagroda” jest umieszczony poniżej diamentu „ubóstwo”, jakby wskazując nam, że oba się uzupełniają i wspierają. Istotnie, ewangeliczne ubóstwo pociąga za sobą konkretne i transcendentne spojrzenie na całą rzeczywistość z realistycznym spojrzeniem także na wyrzeczenia, cierpienia, niepowodzenia, niedostatki i bóle.

Czym jest ta wewnętrzna energia, która sprawia, że człowiek stawia czoła wszystkiemu z ufnością i pogodą ducha, nie zniechęcając się? Jest to ostatecznie poczucie obecności nieba na ziemi. To poczucie wypływa z wiary, nadziei i miłości,

które sprawiają, że na nowo odczytujemy całą naszą egzystencję z perspektywy Ducha Świętego.

Świat pilnie potrzebuje proroków, którzy swoim życiem będą głosić prawdę o Niebie. Nie chodzi tu o wyobcowaną ucieczkę, ale o intensywnie stymulującą rzeczywistość!

Tak więc w duchu Księdza Bosko istnieje ciągła troska o zażyłość z Niebem, prawie tak, jakby było ono „firmamentem” umysłu, „horyzontem” salezjańskiego serca: pracujemy i zmagamy się, mając pewność otrzymania nagrody, spoglądając na naszą niebieską Ojczyznę, dom Boży, Ziemię Obiecaną.

Należy tutaj uściślić, że z perspektywą nagrody nie łączy się jedynie fakt jej osiągnięcia jako pewnego rodzaju rekompensaty za życie przeżyte pośród tak wielu wyrzeczeń i prób... Nic z tych rzeczy! Gdyby chodziło tylko o „nagrodę”, wyglądałoby to na szantaż. Ale Bóg nie działa w ten sposób. W geście Swojej miłości może ofiarować człowiekowi tylko samego Siebie. To właśnie – jak mówi Jezus – oznacza życie wieczne: poznanie Ojca. Tam „poznać” oznacza „kochać”, mieć pełny udział w miłości Bożej, kontynuować ziemską egzystencję przeżywaną „w łasce”, tj. w miłości do Boga oraz naszych braci i sióstr.

Na tej drodze jesteśmy zaproszeni do zwrócenia naszego spojrzenia na Maryję, która codziennie nam pomaga jako Matka, która nas poprzedziła i nas wspomaga. Ksiądz Bosko jest pewien tej Jej obecności pośród nas i chce, aby odpowiednie znaki o tym nam przypominały.

Dla Niej zbudował Bazylikę, która stanowi ośrodek animacji i rozpowszechniania posłannictwa salezjańskiego. Pragnął Jej wizerunku w naszych środowiskach życia; wiązał każdą inicjatywę apostolską z Jej wstawiennictwem i ze wzruszeniem wypowiadał się na temat Jej rzeczywistej i skutecznej macierzyńskiej pomocy. Przypominamy sobie chociażby to, co powiedział do córek Maryi Wspomożycielki w domu w Nizza Monferrato: „Matka Boża jest naprawdę tutaj, tutaj pośród was!

Matka Boża przechadza się po tym domu i okrywa go swoim płaszczem” [\[37\]](#).

Oprócz Niej możemy znaleźć także innych przyjaciół w domu Bożym. Naszych świętych i błogosławionych, zaczynając od twarzy, które są nam najbardziej znane i które przynależą do tzw. „ogrodu salezjańskiego”.

Nie czynimy tego, aby podzielić wielki dom Boży na małe prywatne mieszkania, ale raczej po to, aby czuć się w nim bardziej jak w domu i móc rozmawiać o Bogu, Ojcu, Synu, Duchu Świętym, Chrystusie i Maryi, stworzeniu i historii, czyniąc to nie z lękiem tego, kto wysłuchał wzniosłego, trudnego wykładu poważnego myśliciela, przeznaczonego w rzeczywistości do wąskiego grona słuchaczy, ale z poczuciem zażyłości i radosnej prostoty, z jaką rozmawiamy z tymi, którzy są naszymi bliskimi, naszymi braćmi i siostrami, naszymi kolegami z pracy. Niektórych z nich nie znaliśmy za życia, ale czujemy, że są nam bliscy i budzą w nas szczególne zaufanie. Rozmowa ze św. Józefem, z księdzem Bosko, matką Mazzarello, ks. Rua, Dominikiem Savio, Laurą Vicuña, ks. Rinaldim, biskupem Versiglia i ks. Caravario, s. Teresą Valsè, s. Eusebią Palomino itd. jest naprawdę dialogiem przeprowadzonym w „domu”, dialogiem rodzinnym.

To właśnie sugeruje nam diament „nagroda”: czuć się jak w domu z Bogiem, z Chrystusem, z Maryją, ze świętymi; czuć ich obecność w swoim domu, w rodzinnej atmosferze, która daje poczucie Nieba w codziennym środowisku życia.

6. Z... MARYJĄ: NADZIEJA I MATCZYNA OBECNOŚĆ

Na koniec tego komentarza nie pozostaje nam nic innego, jak tylko zwrócić nasze serca i wzrok ku Maryi Dziewicy, jak uczył nas tego Ksiądz Bosko.

Nadzieja wymaga zaufania, zdolności do oddania i zawierzenia.

W tym wszystkim mamy przewodniczkę i nauczycielkę w osobie Najświętszej Maryi Panny.

Daje nam Ona świadectwo, że nadzieja oznacza zaufanie i zawierzenie, co dotyczy zarówno życia doczesnego, jak i życia wiecznego.

Na tej drodze Matka Boża bierze nas za rękę, uczy nas, jak zaufać Bogu, jak dobrowolnie oddać się miłości przekazanej przez Jej Syna Jezusa.

Jej wskazówka i „kierunek nawigacji” jest zawsze taki sam: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie” [\[38\]](#). Jest to zaproszenie, które kieruje do nas każdego dnia.

W Maryi widzimy realizację owej nagrody.

Maryja ucieleśnia w sobie pragnienie i konkretność tej Nagrody:

„dopełniwszy biegu życia ziemskiego z ciałem i duszą wzięta została do chwały niebieskiej i wywyższona przez Pana jako Królowa wszystkiego, aby bardziej upodobniła się do Syna swego, Pana panującego oraz zwycięzcy grzechu i śmierci” [\[39\]](#).

Możemy odczytać na Jej ustach niektóre z pięknych wyrażenń św. Pawła. Ponieważ te zostały wypowiedziane pod natchnieniem Ducha Świętego, Oblubieńca Maryi, z pewnością je podziela.

Oto one:

„Chrystus Jezus, który poniósł [za nas] śmierć, co więcej – zmartwychwstał, siedzi po prawicy Boga i przyczynia się za nami! Któż nas może odłączyć od miłości Chrystusowej? Utrapienie, ucisk czy prześladowanie, głód czy nagość, niebezpieczeństwo czy miecz?

Ale we wszystkim tym odnosimy pełne zwycięstwo dzięki Temu,

który nas umiłował. I jestem pewien, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani Zwierzchności, ani rzeczy teraźniejsze, ani przyszłe, ani Moce, ani co jest wysoko, ani co głęboko, ani jakiegokolwiek inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym” [\[40\]](#).

Drodzy siostry i bracia, droga młodzieży,

Maryja Wspomożycielka, Ksiądz Bosko i wszyscy nasi Święci i Błogosławieni są nam bliscy w tym nadzwyczajnym roku. Niech towarzyszą nam oni w głębokim przeżywaniu Jubileuszu, pomagając nam umieścić w centrum naszego życia osobę Jezusa Chrystusa, „Zbawiciela zwiastowanego w Ewangelii, który dzisiaj żyje w Kościele i w świecie” [\[41\]](#).

Zachęcają nas, za przykładem pierwszych misjonarzy wysłanych przez Księdza Bosko, abyśmy zawsze i wszędzie czynili z naszego życia darmowy dar dla innych, zwłaszcza ludzi młodych, a wśród nich tych najuboższych.

Na koniec życzenie: niech w tym roku wzrośnie w nas modlitwa o pokój, by cała ludzkość mogła go doznać. Prośmy o dar pokoju – biblijny *shalom* – który mieści w sobie wszystkie inne dary i znajduje spełnienie jedynie w nadziei.

Z braterskim pozdrowieniem

Ks. Stefano Martoglio SDB

Wikariusz Przełożonego Generalnego Rzym, 31 grudnia 2024

[\[1\]](#) Franciszek, *Spes non confundit. Bulla ogłaszająca Jubileusz Zwyczajny Roku 2025*, Watykan, 9 maja 2024.

[\[2\]](#) *Tamże*.

[\[3\]](#) Por. Rz 8,39.

[\[4\]](#) Rz 5,3-5.

[5] *Mszał rzymski*, LEV, Rzym 2020³, 240.

[6] Byung-Chul Han, *El espíritu de la esperanza*, Herder, Barcelona 2024, s. 18.

[7] C. Paccini – S. Troisi, *Siamo nati e non moriremo mai più. Storia di Chiara Corbella Petrillo*, Porziuncola, Assisi (PG) 2001.

[8] Gabriel Marcel, *Philosophie der Hoffnung*, München, List 1964.

[9] Erich Fromm, *La revolución de la esperanza*, Ciudad de México 1970.

[10] *1P* 3,15.

[11] Franciszek, *Spes non confundit*, 9.

[12] *J* 17,3.

[13] *Por. Rz* 4,18.

[14] Benedykt XVI, Encyklika *Deus caritas est*, Watykan, 25 grudnia 2005, 1.

[15] *Konst. SDB*, 3.

[16] Tomasz z Akwinu, *Summa theologiae*, II^a-II^{ae} q. 17 a. 8 co.

[17] *Por. E. Levinas, Totalità e infinito. Saggio sull'esteriorità*, Jaca Book, Milano 2023.

[18] W niniejszych rozważaniach wykorzystałem bogate refleksje opata generalnego Zakonu Cystersów: M. G. Lepori, *Capitoli dell'Abate Generale OCist al CFM 2024. Sperare in Cristo*; te są dostępne także w innych językach na stronie: www.ocist.org

[19] *Por. Rz* 5,3-5.

[20] E. Viganò, *Un progetto evangelico di vita attiva*, Elle Di Ci, Leumann (TO) 1982, 68-84.

[21] Por. E. Viganò, *Profilo del Salesiano nel sogno del personaggio dai dieci diamanti*, w ACS 300 (1981), 3-37. Cały opis snu jest dostępny w: ACS 300 (1981), 40-44, a także w: MB XV, 182-187.

[22] MB VIII, 444.

[23] Konst. SDB, 18.

[24] P. Braido (a cura di), *Don Bosco Fondatore "Ai Soci Salesiani"(1875-1885). Introduzione e testi critici*, LAS, Roma 1995, 159.

[25] MB V, 442.

[26] MB V, 409.

[27] Tamże.

[28] F. Maccono, *Santa Maria Domenica Mazzarello. Confondatrice e prima Superiora Generale delle FMA*, t. I, FMA, Torino 1960, 398.

[29] MB X, 893.

[30] Konst. SDB, 17.

[31] MB XII, 600.

[32] MB VIII, 444.

[33] Cyt. w: E. VIGANÒ, *Riscoprire lo spirito di Mornese*, w ACS (1981), 62

[34] Ps 99.

[35] MB V, 356.

[36] Konst. SDB, 63. Zob. także: E. Viganò, «*Rendere ragione*

della gioia e degli impegni della speranza, testimoniando le insondabili ricchezze di Cristo». Wiązanka 1994. Komentarz Przełożonego Generalnego, Istituto Figlie di Maria Ausiliatrice, Roma 1993.

[37] G. Capetti, *Il cammino dell'Istituto nel corso di un secolo*, t. I, FMA, Roma 1972-1976, 122.

[38] Gv 2,5.

[39] LG 59.

[40] Rz 8,34-39.

[41] Konst. SDB, 196.

Czwarty sen misyjny w Afryce i Chinach (1885)

Opatrzność roztaczała przed oczyma Świętego wspinające perspektywy odnośnie do Zgromadzenia salezjańskiego na misjach. Oglądał to we śnie z roku 1885, który sam opowiedział wieczorem dnia 2 lipca, ksiądz Lemoyne postarał się niezwłocznie go zanotować.

Zdawało mi się, że jestem przed wysokim pasmem górskim, na którego szczycie stał Anioł promieniujący światłem, które rozjaśniało całą tę krainę, zamieszkałą przez nieznane mi ludy.

Anioł prawą ręką trzymał podniesioną lancę, od której biły skry jakby płomienie, a lewą wskazywał na całą okolicę mówiąc: *ANGELUS ARFAXAD VOCAT VOS...* – Anioł Arfaxad wyzywa was do udziału w walkach Bożych, byście zgromadzili narody do gumien Pańskich. Słowa te wypowiedział nie tonem rozkazu, ale jakby

propozycji.

Otoczała go wielka rzesza przepięknych Aniołów i Świętych. Imiona ich nie znam i nie pamiętam. Był między nimi i Alojzy Colle, otoczony gronem młodzieniaszków, których on uczył pieśni ku chwale Bożej, sam je śpiewając. Naokoło góry i na jej stokach mieszkało wielu ludzi. Rozmawiali między sobą językiem mi nieznanym.

Rozumiałem tylko to, co mówił Anioł. To zaś, co widziałem, trudno mi opisywać. Rzeczy takie widzi się, czy nawet rozumie, ale wypowiedzieć je nie sposób, bo krajobrazy zmieniają się z każdą chwilą. Raz zdawało mi się, że jestem na równinach Mezopotamii, to znów na wielkiej górze, a nawet ta wyżyna, na której szczycie stał Anioł Arfaxad, z każdą chwilą nabierała innych kontur, a ludzie na niej mieszkający, to były raczej cienie.

Przez cały czas tej wizji zdawało mi się, że jestem gdzieś bardzo wysoko uniesiony, gdzieś ponad chmury, w przestrzeń bezmierną. Któż by mógł słowami wyrazić taką wysokość, szerokość, jasność, ogrom i majestat tego widoku... Owszem, można się nim napawać, ale nie da się wyrazić. W tym widzeniu i w innych, wielu było tych, co mi towarzyszyli, zachęcając mnie i innych salezjanów, abyśmy się na drodze obranej nie zatrzymywali.

Między tymi, co najbardziej ciągnęli mnie naprzód i tak po prostu za rękę, był drogi Alojzy Colle i chóry Aniołów, które śpiewały, odtwarzając jakoby echa tych pieśni, które śpiewały pacholęta z Alojzym.

W pewnej chwili zdawało mi się, że jestem w centrum Afryki, na olbrzymiej pustyni, gdzie na piaskach wielkimi literami było napisane: *NEGRI*. W środku stał Anioł pokolenia Chama, który mówił: *Cessabit maledictum* – ustanie przekleństwo i błogosławieństwo Stworzyciela spłynie na odrzuconych dotąd synów. Miód i balsam wyleczą ich rany, zadane im przez węże i tak będzie zakryta brzydota synów Chama. Ludy te były bez ubrań. To znów zdawało mi się, że jestem w Australii. I tu był

Anioł, ale bezimienny. On prowadził rzesze ludzkie w kierunku południowym. Australię widziałem nie, jako kontynent, ale jako zbiór wielu wysp, których mieszkańcy różny mieli wygląd i usposobienie.

Liczne dzieci tamtejsze usiłowały przedostać się do nas, ale nie pozwalały im na to woda i odległość. Wyciągając jednak ręce do salezjanów wołały:

– Przyjdźcie nam z pomocą. Czemu nie dokonujecie dzieła, które wasi ojcowie zaczęli?...

Wiele wśród nich się zatrzymało, inne natomiast, choć z wielkim trudem, przedarły się wśród dzikich zwierząt i dotarły do salezjanów, łącząc się razem z nimi. Ale tych ja już nie znałem. Wszyscy zaczęli śpiewać:

– Błogosławiony, co przychodzi w Imię Pańskie...

W pewnej odległości dało się widzieć inne ugrupowanie wysp, ale trudno mi było rozróżnić na nich jakieś szczegóły. Odnoszę wrażenie, że to wszystko zapowiada, iż Boska Opatrzność w przyszłych wiekach przygotuje salezjanom coraz nowe pola pracy. Ich wysiłki będą błogosławione od Boga, jeśli tylko nie staną się niegodnymi łask niebieskich. Gdybym tak mógł zabalsamować i w jakiś sposób zachować przy życiu choćby pięćdziesiątkę salezjanów, którzy teraz żyją, to za lat 500 zobaczyliby, jak wielkie przeznaczenie gotuje im Opatrzność, jeśli tylko będziemy wiernymi. Od dziś za 150 czy 200 lat, działalność salezjanów obejmie cały świat. Wszędzie będziemy mile widziani, nawet od złych, gdyż nasza praca jest tego rodzaju, że zyskujemy sobie sympatię dobrych i bezbożnych. Znajdzie się może jakaś głowa pomyłona, która by nas chciała zmiażdżyć, ale to będą wypadki sporadyczne i nie spotkają się z poparciem ogółu. Wszystko zależy od tego, by salezjanie nie dali się uwikłać w zamięłowanie wygod, bo w parze z tym idzie lenistwo i zaniedbanie się w gorliwości. Nawet prowadząc to, co teraz prowadzimy, a zachowując umartwienie, zwłaszcza, co do wikt, mamy zapewnione istnienie na długie lata. Ale Towarzystwo Salezjańskie będzie się rozwijało w miarę naszej

troski o utrzymanie i rozwój Wiadomości salezjańskich i Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki, spośród których wyjdzie wielu bardzo wartościowych Współbraci, gotowych na wszystko.

To są ważniejsze rzeczy, jakie Ksiądz Bosko ze snu sobie przypomniał. Opowiedział go swoim najbliższym współpracownikom, swej Kapitułe. Ale później jeszcze, sporadycznie, wiele innych rzeczy na temat misji opowiadał księdzu Lemoyne, które jednak poszły w niepamięć.

We śnie tym oglądał rozmaite kraje, które miały z czasem wejść w zasięg działalności salezjanów. Było to widzenie jakby w mgnieniu oka, z perspektywy podróży odbywanej w przestrzeni, ogarniał swym wzrokiem całe kraje, miasta z ich mieszkańcami, morza, rzeki, wyspy, ludy, ich obyczaje, z tysiącnymi szczegółami, jak w jakimś cudownym kalejdoskopie tak, iż nie można tego opisać. Z tej fantastycznej podróży mógł zaledwie zachować niejaki wspomnienie niezbyt wyraźne i nie potrafił dać szczegółowego opisu tego, co widział.

Zdawało mu się, iż towarzyszyły mu pewne osoby, które zachęcały jego i salezjanów, by postępowali nieustraszenie swą drogą wciąż naprzód, bez zatrzymywania się. Wśród nich był Alojzy Colle, o którym wspominał w liście do ojca, z dnia 10 sierpnia: Nasz przyjaciel Alojzy zaprowadził mnie do wnętrza Afryki, tej ziemi pokolenia Chama, jak mówił, oraz do ziem Arfaxada, to jest do Chin. Jeśli Pan Bóg zechce, byśmy się spotkali, będzie obfity temat do rozmowy.

We śnie przebiegał południową część kuli ziemskiej. A oto opis tej podróży według relacji księdza Lemoyne, który ją słyszał z ust Świętego:

Wyruszył z Santiago Chile, widząc Buenos Aires, San Pało w Brazylii, Rio de Janeiro, Przylądek Dobrej Nadziei, wyspę Madagaskar, Zatokę Perską, morze Kaspijskie, wyżynę Senaar, góry Ararat, Senegal, Ceylon, Hong-Kong, Macao z widokiem ogromnego morza, niebosiężnych łańcuchów górskich, z otwierającym się widokiem Chin i imperium Chińskiego, dalej

Australia, wyspy Diego Ramirez, podróż tę zakończył powrotem do punktu wyjściowego w Santiago Chile. W tej błyskawicznej podróży, Ksiądz Bosko rozróżniał wyspy, ziemie i narody rozsiane na różnych szerokościach geograficznych, wiele krajów mało zamieszkałych i w ogóle nieznanym. Nie pamiętał dokładnie nazw miejscowości oglądanych we śnie i tak na przykład Macao nazywał Meaco. Na temat najdalej wysuniętych terenów w Ameryce Południowej rozmawiał z kapitanem Bove; ten jednak nie przekroczywszy Przylądka Magellana, z braku środków na dalszą wyprawę, zmuszony był zawrócić i dlatego nie mógł mu udzielić żądanych wyjaśnień.

Obecnie powiemy parę słów wyjaśnienia odnośnie do tajemniczej postaci Arfaxada. Przed snem, Ksiądz Bosko nie wiedział, kim była ta zagadkowa postać. Później mówił o niej dość często. Dał nawet polecenie klerykowi Festa przestudiowanie w słownikach biblijnych, w podręcznikach historii i geografii, w periodykach, by dowiedzieć się, z jakimi narodami wymieniona postać ma do czynienia. Wreszcie odkrył klucz do tej tajemnicy w I tomie Rohrbachera, który twierdzi, że od Arfaxada pochodzą Chińczycy. Jego imię zjawia się w rozdz. X księgi Genesis, gdzie jest mowa o genealogii synów Noego, którzy rozeszli się na ziemi po potopie. W wierszu 22 czytamy: Synowie Sema, Aelama, Assura, Arfaxada, Luda, Getera i Mesa. Otóż tu, podobnie jak w innych częściach wielkiego obrazu etnograficznego, jaki kreśli Biblia, imiona własne oznaczają protoplastów poszczególnych szczepów odnośnie do ziem przez nich zamieszkałych. Tak na przykład, Aelam oznacza kraj wyżynny, to jest, Elimaide, stanowiącą wraz ze swą stolicą Susiana, prowincję perską; Assur jest protoplastą Asyryjczyków. Na temat trzeciego imienia, egzegeci różnią się w oznaczeniu narodu przynależnego. Jedni, jak Vigouroux (by zacytować znany podręcznik), wyznaczają dla Arfaxada Mezopotamię. W każdym razie, ponieważ autor Biblii wymienia szczepy azjatyckie, w bliskiej styczności z dwoma wymienionymi, zamieszkującymi terytoria na wschód od tych opisywanych przez Księgę Mojżeszową, można wtedy wnioskować,

że także Arfaxad oznacza lud zamieszkujący dalej na wschodzie położone obszary. A więc pod nazwą Anioła Arfaxada można by wnioskować, że chodzi tu o Indie i Chiny.

Ksiądz Bosko odnosił to do Chin twierdząc, że niezapowiedzianie zostaną tam powołani salezjanie, a raz pewnego dodał:

– Gdybym miał dwudziestu misjonarzy przeznaczonych do Chin, pewne jest, że zostaliby tam przyjęci triumfalnie, pomimo prześladowania srożącego się obecnie. Dlatego odtąd bardzo interesował się wszystkim, co odnosiło się do niebieskiego Imperium. Do tego snu wracał często swą myślą, chętnie o nim rozmawiał, uznając w nim potwierdzenie poprzednich snów na temat misji.

(MB IT XVII 643-645 / MB PL XVII 405-408)

Trzecie marzenie misjonarza: podróż samolotem (1885)

Sen księdza Bosko w przeddzień wyjazdu misjonarzy do Ameryki jest wydarzeniem pełnym duchowego i symbolicznego znaczenia w historii Zgromadzenia Salezjańskiego. Tej nocy, z 31 stycznia na 1 lutego, ksiądz Bosko miał proroczą wizję, która podkreślała znaczenie pobożności, apostołowskiej gorliwości i pełnego zaufania do Bożej opatrności dla powodzenia misji. To wydarzenie nie tylko dodało odwagi misjonarzom, ale także umocniło przekonanie księdza Bosko o konieczności rozszerzenia ich pracy poza granice Włoch, niosąc edukację, wsparcie i nadzieję młodym pokoleniom w odległych krajach.

Nadeszła pora wyjazdu księdza biskupa Cagliero [na misję – przyp. tłum.]. Nasz dobry Ojciec zmartwił się myślą, że monsignore wraz z towarzyszami wkrótce odjedzie w dalekie strony. Nie mógł przecież zejść do kościoła, by im udzielić

błogosławieństwa, jak po inne lata, co go bardzo przygnębiało. I w takim stanie ducha, w nocy z 31 stycznia na 1 lutego miał sen podobny do tego z roku 1883 r., o misjach salezjańskich. Opowiedział go księdzu Lemoyne, który go zaraz spisał. Oto on:

Zdawało mi się, że towarzyszę naszym misjonarzom przygotowującym się do podróży. Rozmawialiśmy właśnie krótko przed opuszczeniem Oratorium. Między innymi powiedziałem im:

– Nie wiedzą, ani zdrowiem, ani bogactwami, ale gorliwością i pobożnością działać dużo dla chwały Bożej i zbawienia dusz.

Naraz z Oratorium, nie wiem jaką drogą i jak się to stało, znaleźliśmy się w Ameryce na rozległej równinie pomiędzy Chile a Argentyną. Moi drodzy misjonarze zaraz rozeszli się na wszystkie strony tego bezbrzeżnego obszaru. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że jest ich bardzo mało. A byłem przekonany, że powinno ich tam być o wiele więcej, skoro już kilka ekspedycji misyjnych wysłaliśmy, ale po chwilce refleksji stało się jasnym, że przecież w porównaniu do obszarów, na jakich mieli pracować, to stanowili doprawdy maleńką garstkę.

Przez tę wspomnianą równinę krzyżowało się wiele bardzo długich dróg, wzdłuż których wznosiły się zabudowania. Gościńce te jednak nie były takie jak u nas, ani budynki nie miały podobieństwa do naszych. Miały w sobie coś tajemniczego, rzekłbyś duchowego. Pędziły po nich jakieś pojazdy, które przybierały różne fantastyczne kształty, doprawdy wspaniałe, dziwne, nie do określenia. Dojeżdżając ku domom, wioskom, czy miastom, wehikuły te unosiły się w górę, bo gościńce na miejscach pustych biegły po ziemi, ale przy osadach ludzkich piętrzyły się jakby mosty magiczne, skąd można było dogodnie przyglądać się mieszkańcom pracującym w swoich gospodarstwach.

Każda z tych dróg rozpoczynała się od poszczególnych naszych misji. Otóż, na końcu jednej, najdłuższej, która prowadziła do Chile, widziałem dom z wielu salezjanami, którzy tam oddawali się nauce i pracy zawodowej, przeplatając to pobożnymi praktykami.

Na południe była Patagonia. Z drugiej strony, jak oko sięgało, widziałem wszystkie nasze domy w Argentynie, w Urugwaju i w Brazylii. Inny, bardzo długi gościniec prowadził na zachód przez rzeki, jeziora i kończył się gdzieś w krajach mi nieznanych. Zauważyłem tam zaledwie dwóch salezjanów.

W tej chwili zjawiła się przy mnie jakaś osobistość o szlachetnym i miłym wyglądzie, trochę przybladła, z brodą ogoloną, w wieku dojrzałym. Na plecach miała coś w rodzaju kapy czerwonej, przetykanej złotem. Promieniała pełnią blasku. Spostrzegłem się, że to na pewno mój zwykły Tłumacz.

– Gdzie jesteśmy – spytałem, wskazując na okolicę.

– Jesteśmy w Mezopotamii – odpowiedział.

– W Mezopotamii?... przecież to jest Patagonia.

– A ja ci mówię – powtarza Przewodnik – że to jest Mezopotamia.

– Być może, być może, ale nie mogę się do tego przekonać...

– A jednak tak jest. To jest Mezopotamia – zakonkludował z naciskiem Przewodnik, kładąc nacisk na każdą zgłoskę, bym sobie to zapamiętał.

– A czemu salezjanów, których tu widzę, jest tak mało?

– To, czego teraz nie ma to będzie.

Ja tymczasem stojąc na owej rozległej równinie oglądałem bezkresne drogi i podziwiałem, sam nie wiedząc, jak się to dzieje, miejsca, które są i będą zajęte przez salezjanów. Ile wspaniałych rzeczy tam było. Widziałem wszystkie nasze kolegia. Widziałem jakoby w jednym punkcie, co było, jest i będzie z naszymi misjami. Ale ponieważ widziałem wszystko naraz, trudno mi teraz, nawet nieudolnie to przedstawić. Choćbym tylko krótko chciał to ująć, co widziałem na równinie chilijskiej, paragwajskiej, brazylijskiej i argentyńskiej, potrzebowałbym grubego tomu. Widziałem tam wielką ilość dzikich szczepów, które obecnie rozrzucone żyją na wyspach Pacyfiku i nad cieśniną Magellana.

Wielkie to żniwo przeznaczone jest dla salezjanów, którzy obecnie sieją tam tylko, ale w przyszłości będziemy i zbierać.

W tej pracy będą pomagać nam mężowie i niewiasty. I tak ludzie świeccy będą przepowiadać Ewangelię. Ich synów, których zdawałoby się, iż nie będzie można pozyskać dla wiary, będą głosili Ewangelię swym krewnym i znajomym. Tego wszystkiego zdołają dokonać salezjanie swoją pokorą, pracowitością i wstrzeźliwością.

Wszystko, co widziałem, odnosiło się do salezjanów, do początków ich działalności, do rozrostu ich dzieł, do ich pracy cywilizacyjnej wśród tubylców i Europejczyków tamże zamieszkałych. Europa przeniesie się do Ameryki Południowej. Od chwili bowiem, gdy w Europie zaczęło się ogałacać kościoły, rozpoczął się też zanik jej rozkwitu. Stąd robotnicy ze swoimi rodzinami, zmuszeni nędzą, będą musieli szukać chleba na tych nowych ziemiach. Gdy oglądałem pole pracy, które Pan Bóg nam wyznacza i wspaniałą przyszłość Zgromadzenia Salezjańskiego, zdawało mi się, iż wracam do Włoch.

Gwałtownym pędem przebyłem jakąś bardzo wysoką i dziwną drogę, i w jednej chwili znalazłem się nad Oratorium. Cały Turyn był pod moimi nogami. Jego wieże i pałace wyglądały jak małe pudełka. Rozkoszny przedstawiały widok owe ogrody, aleje, gościńce, place, mury, pola, pagórki, miasta i wioski, a wreszcie olbrzymi łańcuch Alp pokrytych śniegiem. Widziałem i chłopców z Oratorium biegających jak małe szczury, za to liczba ich była nadzwyczaj wielka. Wśród nich uwijali się księża, klerycy, wychowawcy i instruktorzy. Jedni wychodzili szeregiem, inni podchodzili na ich miejsce.

Wszyscy zdążali ku owej szerokiej równinie między Chile a Argentyną, na którą i ja w mgnieniu oka powróciłem i przypatrywałem się temu wszystkiemu. Młody ksiądz, podobny do naszego księdza Pavia, ale to nie był on, o wyglądzie miłym, bardzo grzecznie zbliżył się do mnie i rzekł: Oto kraje wraz z duszami, przeznaczone dla synów świętego Franciszka Salezego.

Tu trzeba zauważyć, iż opowiadam sen tylko w ogólnych zarysach, gdyż niepodobna wszystkiego, co widziałem opanovać

myślą, ani też słowami wyrazić. Jakaś tajemnica otacza te sceny, które to się przybliżały, to krzyżowały, to znów się powtarzały, zależnie od tego, czy misjonarze się rozchodzili, czy zjeżdżali i zależnie od zachowania się ludów, które ewangelizowali. Powtarzam, że widziałem jakby w jednym punkcie: teraźniejszość, przyszłość i przeszłość ze wszystkimi zmianami, niebezpieczeństwami, powodzeniami i niepowodzeniami, które będą towarzyszyć ich apostołatowi. Wtedy zrozumiałem wszystko dokładnie, ale teraz już nie mogę rozwikłać tego splotu faktów, idei i osób. Byłoby to to samo, jakby ktoś chciał do jednego opowiadania pewnego zdarzenia włączyć wszystko to, co można powiedzieć o firmamencie niebieskim, o ruchu gwiazd, o ich własnościach, wzajemnej zależności, kiedy już jedna gwiazda dostarczyłaby dość materii do studiów. Zresztą należy i to zauważyć, iż chodzi tu o rzeczy, które nie mają odpowiednika w świecie materii.

Wracając więc do snu zaznaczam, że byłem zdziwiony, jak to całe mnóstwo ludzi mogło się w jednej chwili rozwiać. Przy moim boku zauważyłem tylko biskupa Cagliero. Inni stali naokoło z dala, z poważną liczbą naszych Pomocników.

Podczas, gdy rozmawiałem z księdzem Cagliero o tym, co by to wszystko miało znaczyć, podszedł do mnie mój Tłumacz i bardzo grzecznie odezwał się:

– Słuchajcie i oglądajcie.

W tej chwili cała ta równina zmieniła się na olbrzymią salę. Nie silę się opisywać dokładnie jej wspaniałości i bogactwa. Nikt tego z nas nie umiałby sobie tego wyobrazić. Nie można było objąć wzrokiem murów ją okalających. Sklepienie opierało się na wysokich, lśniących łukach. Wnętrze kopuły owej sali mieniło się jakimś bielutkim atłasem. Nie mniej piękną była posadzka. Nie widziałem tam ani lamp, ani słońca, ani księżyca, ani gwiazd, ale jasność tajemnicza oświećlała ją równomiernie. Atłasowa biel błyszczała ze wszystkich stron, a owo światło uwypuklało piękno każdej ozdoby, każdego okna i drzwi. Wokoło rozchodził się przemiły zapach wszelkich

najprzyjemniejszych woni. I znowu nastąpiło inne zjawisko. W owej sali znalazły się naraz w wielkiej liczbie stoły ustawione we wszystkich kierunkach, ale tak, że w środku schodziły się razem. Były przykryte śnieżnobiałymi obrusami, a na nich mieniły się rozstawione precudne flakony kryształowe, pełne kwiatów.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył ksiądz Cagliero było:

– Stoły są, ale gdzie pokarmy?

Rzeczywiście, żadne dania nie były przygotowane, ani nawet nie było nakrycia.

Mój sympatyczny Przewodnik odpowiedział:

– Ci, co tu przychodzą... *neque sitient, neque esurient amplius*

– ani pragną, ani łakną więcej...

Kiedy to powiedział, zaczęli wchodzić ludzie ubrani na biało, ze wstęgą na kształt stuły, różowego koloru, przetkaną nićmi złotymi. Pierwsi, którzy weszli, nie byli liczni.

Zaledwie weszli usiedli przy stole dla nich przygotowanym, wykrzykując:

– Evviva – niech żyje... ale potem przychodziły już coraz liczniejsze zastępy, śpiewając: *Triumf!*

I napływali do sali całymi falami ludzie, mężczyźni i kobiety o różnej cerze i o różnej budowie ciała, a z wszystkich stron rozbrzmiewały śpiewy: *Evviva* i *Triumf*. Cała ta rzesza – to były narody i szczepy, które zostaną nawrócone przez misjonarzy. Spojrzawszy po owych, tak długich stołach zauważyłem, że przy nich siedziały, śpiewając także liczne nasze siostry i wielka liczba naszych Współbraci, ale nie mieli żadnej wyróżniającej odznaki, że są księżmi, klerykami, czy siostrami zakonnymi, ale tak jak wszyscy, mieli szatę białą i różne naszyjniki. Tym większe było moje zdziwienie, gdy zauważyłem mężczyzn o wyglądzie prostackim, ubranych jak inni, którzy śpiewali: *Evviva – Triumf!*...

Mój Tłumacz powiedział:

– Otóż ci dzicy, którzy pili mleko Słowa Bożego od swych wychowawców, stali się głosicielami Ewangelii.

Zauważyłem wśród tych ludzi gromady dzieci o wyglądzie też raczej prostackim i dziwnym, więc spytałem:

– A te dzieci, co mają skórę tak podobną, rzekłbyś do ropuchy, a jednak przy tym tak są piękne i tak promienne, co oni znaczą?

A Tłumacz odpowiedział:

– Są to dzieci Chama, którzy jednak nie wyrzekli się dziedzictwa Lewiego. Oni to wzmocnią zbrojne zastępy, ażeby zapełnić Królestwo Boże, które wśród nich nareszcie przyszło. Jest ich na razie mało, ale synowie ich synów urosną w liczbę. Teraz słuchacie i widzicie, ale nie możecie zrozumieć tych tajemnic, jakie oglądacie.

Dzieci te pochodziły z Patagonii i Afryki Południowej. Tymczasem takie tłumy napłynęły do sali, że już wszystkie miejsca były zajęte. Krzesła nie miały zdecydowanego kształtu, ale przybierały taką formę, jaka siedzącym odpowiadała. Każdy był ze swojego zadowolony.

I oto, gdy ze wszystkich stron rozbrzmiewał okrzyk:

– *Evviva! Triumph!* – naraz wtłacza się do sali nowa olbrzymia rzesza, witana owacyjnie przez obecnych, śpiewając: *Alleluja!... Chwała!... Triumph!...*

Kiedy już sala napełniła się tak, że tysiący w niej zebranych nie można było policzyć, nastąpiło głębokie milczenie.

Po chwili te tysiące, podzielone na różne chóry zaczęły śpiewać.

Pierwszy chór: *Appropinquavit in nos Regnum Dei: Laetentur caeli et exultet terra: Dominus regnavit super nos, alleluja.*

Drugi chór: *Vicerunt, et ipse Dominus dabit edere de ligno vitae et non esurient in aeternum, alleluja.*

Trzeci chór: *Laudate Dominum omnes gentes, laudate eum omnes populi.*

Kiedy tak chóry śpiewały przeplatając się wzajemnie, naraz zapadło głębokie milczenie. I oto rozbrzmiały nowe głosy, gdzieś wysoko i daleko. Treścią tych głosów, wplecionych w

cudną melodię, której nie da się odtworzyć było: *SOLI DEO HONOR ET GLORIA IN SAECULA SAECULORUM* – Samemu Bogu cześć i chwała na wieki wieków.

Inne chóry również z wysoka i daleka odpowiadały: *SEMPER GRATIARUM ACTIO ILLI, QUI ERAT, EST ET VENTURUS EST* – Zawsze dzięki Temu, który był, jest i ma przyjść.

Po czym chóry spłynęły jakby z nieba, ku nam. Między tymi śpiewakami niebieskimi był także Alojzy Colle. Wtedy wszyscy razem z tymi, co byli na sali, zaczęli wspólnie śpiewać przy potężnym akompaniamencie instrumentów muzycznych, o rozpiętości skali bezkresnej. Muzyka ta i chóry, mimo iż rozbrzmiewały tysiącem nut, to pienia razem tworzyły jeden potężny, harmonijny akord niebieskich głosów. A jak głosy tych u góry były wysokie i przenikliwe, iż trudno to sobie wyobrazić, tak głosy na sali brzmiały stentorowo i majestatycznie. Wszystko razem tworzyło jedną symfonię z takim gustem wykonaną i tak cudownie piękną, że tym upajały się wszystkie zmysły ludzkie i człowiek zapominał o własnym istnieniu.

Padłem wówczas na kolana u stóp księdza Cagliero wołając:

– O, Cagliero, jesteście w niebie.

A biskup Cagliero wzięwszy mnie za rękę, odpowiedział:

– To nie jest niebo, to słaba tylko figura tego, co będzie w niebie.

A owe niezliczone chóry śpiewały dalej swoje niekończące się:

– *Soli Deo honor et gloria et triumphus, alleluja... In aeternum, in aeternum* – Samemu Bogu cześć i chwała i triumf, alleluja.

Tu zupełnie zapomniałem o sobie i nie wiem, co dalej ze mną się działo. Rano było mi bardzo ciężko wstać z łóżka, dopiero trochę przyszedłem do siebie, kiedy był już czas odprawiać Mszę świętą.

Myśl główna, jaka mi po tym śnie pozostała, była, ażeby zalecić księdzu Cagliero i innym misjonarzom rzecz bardzo

ważną dla przyszłego rozwoju misji, a mianowicie: Wszystkie zabiegi salezjanów i Córek Maryi Wspomożycielki niech będą skierowane do tego, aby budzić powołanie do stanu kapłańskiego i zakonnego.

(MB IT XVII, 299-305 / MB PL XVII, 188-192)

Drugi sen misyjny: przez Amerykę (1883)

Sen ten miał Ksiądz Bosko 30 sierpnia. Opowiedział go zaś dnia 4 września przed południem Kapitulie Generalnej. Notował ksiądz Lemoyne i dał do poprawienia Księdzu Bosko, który go uzupełnił – głównie z początku, gdzie jest rozmowa między owymi gośćmi w salonie.

Przewodnikiem tego snu jest znany Alojzy Colle, syn wielkich Dobrodziejów Księdza Bosko we Francji, zmarły bardzo świętobliwie. Ksiądz Bosko często go widywał nie tylko w snach, ale także i w dzień, a w czasie swych podróży nieraz z nim rozmawiał.

Wiedziałem, że śpię, a równocześnie zdawało mi się, że biegnę i to tak szybko, że czułem się przemęczony i niezdolny do zwykłych swych zajęć. Wreszcie, dobiegłszy do wspaniałej sali, spostrzegłem tam większe grono osób prowadzących między sobą ożywioną dyskusję na temat wielkiej liczby dzikich ludów pogańskich w Australii, w Indiach, Chinach, Afryce a szczególnie w Ameryce utyskując, że te kraje dotąd jeszcze pogrążone są w cieniu śmierci.

– *Zdaje mi się* – mówił jeden – *jakoby Europa, ta chrześcijańska Europa, co się uważa za mistrzynię świata, co trzyma niby prym w szerzeniu kultury, zupełnie stała się*

obojętna na misje zagraniczne. Mało jest bardzo tych, co by mieli odwagę podjąć się uciążliwej podróży morskiej i popłynąć w nieznane kraje dla ratowania dusz milionów ludzi, którzy przecież też są odkupieni przez Syna Bożego Jezusa Chrystusa.

– A iluż to nieszczęśliwych – zauważył inny – żyje choćby w samej Ameryce, nie znając Ewangelii ani Kościoła. Jest przekonanie, że Kordyliery są murem odgradzającym tamte kraje od reszty świata, a tymczasem są one dostępne, bo poprzerywane szerokimi kotlinami. Rosną na nich olbrzymie lasy, gdzie stopa ludzka jeszcze nie stanęła, są tam rośliny i zwierzęta dotąd nieznane, są i bogate złoża mineralne, jak węgiel, ołów, miedź, żelazo, srebro i złoto, nawet i ropa, które leżą nietknięte odkąd złożyła je tam wszechmocna ręka Stwórcy na potrzeby ludzi. O Kordyliery, jakże jesteście bogate!

Czułem w tej chwili potrzebę zapytania o wiele rzeczy, jako też poznanie osób, wśród których się znalazłem, ale pomyślałem sobie, że lepiej będzie najpierw im się uważnie przypatrzeć.

Spojrzałem, więc po obecnych, choć wszyscy byli mi nieznani, to jednak bardzo życzliwie zaprosili mnie do swego grona. Ośmielony tym, zapytałem:

– Gdzie my właściwie jesteśmy? W Turynie, Paryżu, Londynie, czy w Madrycie? A panowie, kto jesteście? Z kim mam zaszczyt rozmawiać?

Odpowiedzieli mi wymijająco, ciągle wracając do tematu misji. Wtedy podszedł do mnie młodzieniec, lat mniej więcej 16 – tu, bardzo miły, kochany dla swej nadziemskiej piękności i jaśniejący blaskami więcej niż słonecznymi. Ubranie jego haftowane było z przepychem niebiańskim. Na głowie miał beret w kształcie korony, wysadzany mieniącymi się perłami. Patrzył na mnie życzliwie, a jego uśmiech miał w sobie coś dziwnie pociągającego.

– O Książd Bosko – odezwał się do mnie.

A wzięwszy pod rękę, zaczął mówić o naszym Zgromadzeniu Salezjańskim. Byłem oczarowany jego głosem.

Dopiero po pewnym czasie przerwałem mu pytając:

– A z kim mam zaszczyt mówić? Niech panicz będzie łaskaw powiedzieć mi swoje nazwisko.

– Proszę się nie obawiać. Ze mną śmiało można porozmawiać, wszak jestem Księdzu bardzo życzliwy – odparł młodzian.

– No, ale nazwisko panicza.

– Chętnie bym powiedział, ale to zbytęczne, bo przecież Ksiądz powinien mnie dobrze znać.

To mówiąc przyjaźnie się uśmiechnął. Przypatrzyłem mu się lepiej. Ech, jakże był piękny. Rzeczywiście rozpoznałem w nim Alojzego, syna hrabiego Colle z Tulonu, naszego wielkiego dobrodzieja zwłaszcza naszych misji w Ameryce. /Alojzy Colla zmarł niedawno przed tym snem/.

– Ach, to ty, Alojzy, zawołałem, a któż są ci wszyscy?

– To sympatycy tutejszych salezjanów. Ja też, jako serdeczny przyjaciel Księdza i salezjanów, chcę w Imię Boże dać Księdzu trochę, roboty. Zobaczymy wtedy, o co chodzi.

– Jaka to będzie praca?

– Proszę się przybliżyć do tego stołu i pociągnąć w dół tę oto linkę.

Na środku sali był stół, a na nim leżała linka zwinięta, poznaczona kreskami, jakby jakiś metr. Później przekonałem się, że ta sala była w Ekwadorze, dokładnie na równiku, a owe kreski, na lince odpowiadały stopniom szerokości geograficznej. Ująłem więc koniec tej linki i obejrzałem ją. Na końcu miała znak zero. Uśmiechnąłem się na to, a wtedy Alojzy:

– Tutaj nie ma nic do śmiechu. Proszę bardzo uważnie obejrzeć, co tam jest zaznaczone.

– A no – zero.

– Proszę pociągnąć.

Pociągnąłem i pokazał się numer jeden.

– Jeszcze proszę pociągnąć i potem zwijać linkę.

Pociągnąłem i wyszły numery: 2, 3, 4, aż do 20.

- Wystarczy? – zapytałem. Nie.
- Jeszcze proszę ciągnąć dalej, dalej. Aż się pokaże supełek – odpowiedział.

Ciągnąłem, więc do 47 i tu był węzeł. Od tego miejsca linka ciągnęła się dalej, ale podzielona już na liczne sznureczki, które rozchodziły się w różnych kierunkach, na wschód, zachód i południe.

- Wystarczy? – spytałem znowu.
- A jaki jest numer? – pyta młodzieniaszek.
- Jest 47.
- No, a 47 więcej 3, ile to jest? Pięćdziesiąt.
- A więcej pięć?
- Pięćdziesiąt pięć.
- Proszę zapamiętać; pięćdziesiąt pięć, ale proszę jeszcze ciągnąć.
- Już koniec, odpowiedziałem.
- To proszę przejść na drugą stronę i ciągnąć linkę z drugiego końca.

Ciągnąłem więc linkę od drugiego końca do numeru 10.

- Jeszcze – zachęcał młodzieniaszek.
- Już nic nie ma.
- Jak to, nic nie ma. Proszę lepiej popatrzeć. No, co jest?
- Woda, odpowiedziałem.

W tej chwili zaszło coś dla mnie nie wytłumaczalnego. Byłem w owej sali, ciągnąłem linkę, a równocześnie przede mną przesuwał się wspaniały krajobraz, nad którym unosiłem się, jakby w górze. Rozszerzał się on w miarę, jak ciągnąłem za linkę. Od zera do liczby 55 był ląd, potem cieśnina morska, a dalej w głębi morze poprzecinane setkami wysp, z których jedna większa. Do tych wysp nawiązywały owe sznureczki, jakie wychodziły od wielkiego węzła i tak się kończyły. Jedne z wysp zamieszkiwały liczne plemiona, inne były skaliste i puste, jeszcze inne pokryte lodem i śniegiem. Na zachód widać było wyspy z dzikusami. Zdaje się, że węzeł pod numerem 47 oznaczał centrum działalności salezjanów, z którego mieli się rozejść

do Ziemi Ognistej, na wyspy Falklandzkie i na inne wyspy sąsiednie. Z przeciwnej strony od zera do 10 znowu był ląd. Ten kończył się w wodzie, którą widziałem, jako ostatnią przy ciągnięciu linki. Zdaje się, że to miało być Morze Karaibskie, ale to przedstawiało mi się tak jakoś, że nie umiem słowami tego wyrazić.

Kiedy więc zawołałem, że jest woda, ów młodzieniec odezwał się:

– No, to dodajmy 55 do 10 – będzie razem.

– Będzie razem 65.

– Otóż to trzeba teraz razem związać.

– A potem?

– Zaraz.

– Z tej strony, co tu jest?

Powiedział wskazując jeden punkt krajobrazu. Na zachodzie widzę wysokie góry, a na wschodzie morze. /Tu trzeba zauważyć, że to wszystko widziałem w tej chwili jakby w streszczeniu, w miniaturze. Cyfry na lince odpowiadały dokładnie stopniom szerokości geograficznej. Tu ułatwiło mi zapamiętanie potem tego, co następnie ujrzałem, podróżując po tych krajach w drugiej części snu/. A mój przyjaciel mówił dalej:

– Te góry są granicą działalności salezjańskiej. Tam miliony ludzi was oczekują, a z wami wiary.

Te góry – to były Kordyliery Ameryki Południowej /Andy/, a morze – to ocean Atlantycki.

– Ale jak my temu podołamy? Jak będziemy mogli tyle narodów skupić w owczarni Chrystusowej?

– Jak? zobacz.

W tej chwili nadszedł ksiądz Lago /późniejszy sekretarz księdza Rua/ z koszykiem fig maleńkich i zielonych, a podając mi je powiedział:

– Proszę, niech Ksiądz Bosko bierze.

– Cóż ty mi przynosisz?, zawołałem patrząc na zawartość kosza.

– Kazano mi to przynieść Księdzu.

– Ależ to figi nie do jedzenia. Przecież są niedojrzałe.

Wtedy Alojzy wzięwszy ów kosz bardzo szeroki, ale płytki, wręczył mi go mówiąc:

– Oto podarek ode mnie.

– Ależ cóż mam robić z tymi figami?

– No tak. Figi są niedojrzałe, ale należą do „wielkiej Figi życia”. Trzeba postarać się, by dojrzały.

– Ale jak? Gdyby były trochę większe, to by można rozłożyć je na słomie, jak to się praktykuje z innymi owocami, ale takie małe, zielone – nic z tego nie wyjdzie.

– Owszem, wyjdzie, ale trzeba wiedzieć, że te figi, aby dojrzały, muszą być z powrotem przywiązane do drzewa, z którego pochodzą.

– To już nie do uwierzenia. Jakże to można zrobić?

– Proszę uważać.

I wziął jedną figę umoczywszy ją w naczynku z krwią, następnie w naczynku z wodą, rzekł: Kwią i potem będą mogli dzicy zostać z powrotem wszczepieni do drzewa i tak staną się miłymi w oczach Pana Życia.

Pomyślałem sobie, że na to trzeba będzie czasu, głośno zaś rzekłem:

– Ja już nie wiem, co na to wszystko powiedzieć.

Alojzy czytając w moich myślach powiedział:

– To da się przeprowadzić w ciągu dwóch generacji ludzkich.

– A która te będzie druga generacja?

– Obecnie żyjącej nie liczy się, dopiero następna i ta po niej.

Kiedym usłyszał, jak wielkie przeznaczenie czeka nasze Towarzystwo, poczułem się zakłopotany.

– A ile lat trzeba liczyć na każdą generację? Sześćdziesiąt sześć /66/.

– A potem?

– Jeśli Książd chce wiedzieć, co nastąpi potem, to proszę iść ze mną.

I tu nie wiem, w jaki sposób znalazłem się na stacji kolejowej, przepełnionej ludźmi. Siedzieliśmy w pociągu.

– Dokąd jedziemy, pytam.

Młodzieniaszek odpowiedział:

– Proszę dobrze uważać i patrzeć. Jedziemy wzdłuż Andów, ale będziemy jechać i na wschód w stronę morza.

– Łaska to jest naszego Zbawiciela, A w Bostonie, gdzie nas oczekują, kiedy będziemy?

– Każda rzecz w swoim czasie.

To mówiąc wyjął wielką mapę, na której zaznaczona była diecezja Cartagena /to punkt wyjściowy/. Gdy oglądałem mapę, pociąg gwizdnął i ruszył z miejsca.

W czasie podróży mój młody przyjaciel mówił dużo, ale z powodu stukotu pociągu niewiele mogłem z tego zrozumieć. Mówił o astronomii, o żegludze, o meteorologii, mineralogii, o faunie, florze i topografii tych okolic. A mówił to z taką znajomością rzeczy, z takim wdziękiem i serdecznością, że odczułem, jak byłem przez niego kochany. Zaraz z początku opowiadania ujął mnie za dłoń i tak ją trzymał aż do końca snu. Ja czasem chciałem swoją rękę położyć na jego, ale ta jakoś rozplýwała się tak, że dłonią dotykałem swojej ręki, a nie jego. A on się tylko na te moje bezustanne wysiłki tylko uśmiechał.

Przez okna wagonu można było podziwiać wspaniałe widoki. Lasy, góry, majestatyczne równiny, długie rzeki, o których nigdy bym nie myślał, że mogą być tak szerokie daleko od swego ujścia. Jechaliśmy stale wzdłuż wielkiej dziewiczej puszczy. Mój wzrok miał jakąś nadzwyczajną siłę. Nie było przeszkód, które by zdolne były przysłonić mi widok bezkresnych obszarów. A tu, co chwila podnosiła się jakby zasłona i nowe kraje wyłaniały się przede mną: Nowa Grenada, Wenezuela, Gujana, Boliwia, Brazylia w całej swej bezkresnej rozciągłości. Mogłem się też przekonać o słuszności tego, co słyszałem w owej sali, bo mogłem dojrzeć złoża kruszcowe we wnętrzu ziemi i podziwiać bogactwa, które kiedyś zostaną odkryte. Widziałem kopalnie cennych minerałów, niewyczerpane wprost pokłady węgla, zbiorniki ropy tak bogate

jak nigdzie na ziemi.

Między stopniem 13 a 20 szerokości geograficznej była Kotlina obszerna, a u jej wylotu jezioro. Jakiś głos mi mówił:

– Kiedy odkryte zostaną skarby tu ukryte, ta okolica stanie się krajem mlekiem i miodem płynącym. Takie niewyczerpane bogactwa kryje w sobie ta ziemia.

Co mnie bardzo zastanowiło to to, że te góry oglądane nie były murem nieprzerwanym, poza który wejść nie można, ale obniżając się tworzyły obszerne Kotliny. W tych zaś kotlinach, niezmiernie długich, mieszkały tysiące tubylców, którzy z Europejczykami jeszcze w ogóle się nie zetknęli.

Tymczasem pociąg jechał naprzód mijając lasy, wijąc się między wzniesieniami po dolinach aż wreszcie stanął. Wielu pasażerów wysiadło i odeszli na zachód. Pociąg ruszył dalej. I znowu mijaliśmy lasy, tunele, olbrzymie mosty, zapuszczaliśmy się w ciasne wąwozy górskie, pędziliśmy nad jeziorami i bagnami, nad rzekami, aż wjechaliśmy na prerię i równinę olbrzymią. Wnet znaleźliśmy się nad brzegami rzeki Urugwaju, wbrew mojemu przekonaniu bardzo długiej. Następnie natknęliśmy się na rzekę Parana, która zdawała się, że wyleje swe wody do Urugwaju, ale ona tylko płynie z nim czas jakiś równolegle i skręca tworząc szeroki łuk. Obie te rzeki są bardzo szerokie. Pociąg pędził teraz stale w dół, zakręcając raz w jedną, raz w drugą stronę, wreszcie po długiej jeździe stanął. I tu dużo pasażerów wysiadło i poszło na zachód. Pociąg ruszył dalej przez Pampas i Patagonię. Uprawne pola i domy, stojące tu i tam, świadczyły, że cywilizacja już się przedostaje w te okolice. Wjeżdżając do Patagonii przejechaliśmy rzekę Colorado. I wreszcie znaleźliśmy się nad cieśniną Magellana. Wysiedliśmy z pociągu. Przede mną jak na dłoni widniało Punterenas. Na dziesiątki kilometrów widziałem przed sobą składy węgla, stołów, desek, drzewa, stosy różnych metali w stanie surowym i obrobionych. Długie pociągi towarowe stały na torach.

Mój przyjaciel wskazał mi na te rzeczy, a ja spytałem:

– Co to wszystko oznacza?

Odpowiedział:

– To, co teraz jest w obrazie, to w przyszłości będzie rzeczywistością. Ci dzicy chętni będą dla cywilizacji; owszem, sami przyjdą prosić, by ich pouczyć o religii, przemyśle i rolnictwie.

Widziałem już dosyć.

– Zaprowadź mnie teraz do moich salezjanów w Patagonii.

Wróciliśmy więc na stację, wsiedliśmy do pociągu, który też zaraz ruszył. Po dłuższej jeździe zatrzymał się w jakiejś znaczniejszej miejscowości. Na stacji nie było nikogo, ale zaledwie wyszliśmy z wagonu, zaraz natknąłem się na salezjanów. W owej miejscowości były domy zamieszkałe, kilka kościołów, szkoły, przytułki dla dzieci i starców, byli rzemieślnicy i rolnicy i szkoła gospodarcza dla dziewcząt. Wszystko to było pod kierownictwem salezjanów. Szedłem między nimi, ale oni mnie nie poznawali ani ja ich. Patrzyli na mnie zdziwieni, jak bym dla nich był kimś obcym.

Więc się odzywam:

– Czy nie znacie mnie? Nie znacie Księdza Bosko?

– Ksiądz Bosko? Owszem, znamy go z opowiadania. Widzieliśmy tylko jego portrety. Osobiście – oczywiście, nie.

– No a ksiądz Fagnano, ksiądz Costamagna, ksiądz Lasagna, ksiądz Milanesio. Gdzież oni są?

– Tych też nie znaliśmy. Oni już dawno umarli. To byli pierwsi tutaj salezjanie z Europy.

Słyszając to myślę, sobie, czy to jest rzeczywistość, co przeżywam, czy sen. Klasnąłem w dłonie. Kłaśnięcie usłyszałem. Dotykając się czułem swoją osobę i dochodziłem do wniosku, że nie śpię, ale wiem, że wszystko to odbywa się w jednej chwili.

I widząc tak wielki rozwój Kościoła, naszego Zgromadzenia i cywilizacji w tych stronach – dziękowałem Opatrzności, że mną się posłużyła jako instrumentem dla dokonania tylu rzeczy ku swej chwale i zbawieniu dusz.

Alojzy dał mi znak, byśmy wracali. Pożegnałem więc swoich i wracamy na stację, gdzie już pociąg czekał. Maszyna gwizdnęła i jazda na północ. Podpadło mi teraz, że Patagonia w pobliżu cieśniny Magellana, między Kordyliierami a Atlantykiem, nie jest tak szeroka, jak to podaje dotychczasowa geografia. Pociąg nasz przebiegał okolicę Argentyny już ucywilizowane. Następnie wjechaliśmy w bezkresną puszcę.

Naraz maszyna zatrzymała się gwałtownie, a naszym oczom ukazał się bardzo bolesny widok. Wielka gromada dzikich, o twarzach wstrętnych, stała na polanie wśród puszczy. Ubrani byli w skóry zwierząt pozszywane niezgrabnie. Otaczali jakiegoś człowieka związanego, który siedział na kamieniu. Był bardzo tłusty, bo dzikusy umyślnie go utuczyli. Był to jakiś biedny jeniec. Z jego wyglądu więcej ludzkiego, można było wywnioskować, że to obcokrajowiec. Dzikusy zadawały mu wiele pytań, a on opowiadał im swoje podróżnicze przygody. Naraz jeden z dzikusów podnosi się, chwyta jakieś ostre żelazo, rzuca się na tego biedaka i jednym uderzeniem strąca mu głowę. Podróżni ze zgrozą w milczeniu przypatrywali się tej okrutnej scenie. Także Colle patrzył w milczeniu. W chwili uderzenia ofiara jeszcze zdążyła krzyknąć przeraźliwie, gdy ludożercy zaraz rzucili się na trupa, rozdarli na kawałki, a przypiekłszy na rozpalonym ognisku, zjedli na pół surowe jego mięso. Na krzyk owego nieszczęśliwego maszyna powoli ruszyła, przyspieszając z każdą chwilą biegu.

Pociąg pędził wzdłuż rzeki, raz na jednym jej brzegu, to na drugim. Po drodze, co jakiś czas napotykaliliśmy osady dzikusów. Wtedy Colle mi mówił:

– Oto żniwo dla salezjanów. Oto wasze żniwo.

Nareszcie znaleźliśmy się w okolicy pełnej dzikich zwierząt, węzów jadowitych o dziwnych i strasznych kształtach, które kręciły się i pełzły po górach, pagórkach, nad brzegami rzek, na równinach. Widzieć było można wśród nich psy ze skrzydłami o brzuchu obrzydliwie wielkim, to znów ropuchy, co pożerały mniejsze żaby, gdzie indziej były jamy pełne potworów. A to

wszystko było zmieszane, tłoczyło się i żarło między sobą, kwicząc przeraźliwie. Były tam tygrysy, lwy, hieny, ale inne niż te w Azji, czy Afryce. Także tutaj mój towarzysz rzucił mi uwagę:

– Salezjanie ich obłąskawia.

Pociąg tymczasem dojeżdżał do miejsca, skąd wyjechał i już byliśmy blisko stacji. Colle wyjął wtedy prześliczną mapę i rzekł:

– Chce Ksiądz wiedzieć, przez jakie kraje przechodziła nasza trasa?

– Ależ naturalnie.

Wówczas rozwinął mapę całej Ameryki Południowej, wykonaną z wielką dokładnością. Na niej było zaznaczone nie tylko, co jest, ale i to, co było i jak będzie w przyszłości. A było to tak przejrzyste, że jednym spojrzeniem objąłem. Ale tyle szczegółów naraz pomieszało mi się w głowie, iż sobie już z tego dokładnie nie zdaję sprawy. Kiedy oglądałem mapę czekając jakiegoś słowa wyjaśnienia od mego kochanego Alojzego, podniecony tym, co miałem przed oczyma – usłyszałem, że w kościele parafialnym dzwoniono na Anioł Pański. Sen trwał całą noc.

Ksiądz Bosko zakończył opowiadanie następująco: „Słodyczą i łagodnością św. Franciszka Salezego, salezjanie pociągną do Jezusa Chrystusa ludy Ameryki. Będzie rzeczą trudną ucywilizować tubylców, ale ich dzieci będą chętnie słuchały słów misjonarzy, zamieszkaj, w koloniach, stopniowo cywilizacja zajmie miejsce barbarzyństwa i w ten sposób wielu pogan wejdzie do owczarni Jezusa Chrystusa”.

(MB IT XVI, 385-394, MB PL XVI, 236-243)